ŚWIAT DZIEWCZĄT

NR 8



40 gr

Rok I. Warszawa, dnia 10. marca 1933 r. Nr 8.

Świat Dziewcząt

WYCHODZI 1-GO 10-GO I 20-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

Za tarczą obowiązku

O, proszę, cóż znowu za tarcza? Kajdany i tyle. Obowiązek — to coś stworzonego poto, żeby człowiekowi nie było za dobrze. To coś biegunowo przeciwnego temu, na co się ma ochotę.

Jak się ma trzy lata — obowiązek jest śliniaczkiem zawiązanym pod brodą w chwili kiedy się chce dumną pierś przyozdobić rozmazanem jajkiem. Jak się ma lat dwanaście — obowiązkiem jest obliczenie straty kupca na iluś tam kilogramach herbaty (powinienby sam pilnować swoich interesów handlowych). Kiedy się ma lat siedemnaście, siedzi się na oknie i chłonie wzrokiem świeczkowe bukiety kasztanów — ale, moi drodzy, czyż miło w takiej godzinie, która już nie wróci, łamać się ze sobą i zakuwać jakowąś przynależnością matury, czy końca roku. Karol Wielki w żelaznej koronie Longobardów — bodajbyś się urodził raczej złotnikiem czy tkaczem!

A kiedy się mieć będzie lat 20, 30, 40 lat ...obowiązki rozmnożą się „jako piasek w pustyni", a każdy z nich uzbroi się w mniej lub więcej chwytne sposoby kiełznania człowieka.

Ładna historja. Wszystko to brzmi jak nawoływanie do powrotu w mgławice nieuporządkowanych prawieków. Więc co ostatecznie począć? Nie wiązać śliniaka, zostawić kupca jego nieciekawym losom, oddać się upajającej władzy majowej wonności i t. d. i t. d. i t. d.?

Modna była niedawno — dziś już zgasła, jak efemeryda — piosenka „Jak się niema, co się lubi"...

Owszem, można i z tej strony. Zżyć się ze złem koniecznem. Przyzwyczaić się. Zdobyć się na „drugą naturę" — cichą, potulną i zgodną.

Obchodząc jednak dokoła kłopotliwe zagadnienie możemy stanąć w stosunku do niego w znacznie dogodniejszej, i — powiedzmy to sobie otwarcie — jedynie racjonalnej konfiguracji. Kto nie rozumie różnicy między rytmem a monotonją, z tym się napewno nie dogadam. Bo jednak różnica ta wyjaśnia wszystko. Monotonja: to nuda, szarzyzna, ubóstwo przeżyć.

Rytm — to ramy tych przeżyć, ich ład, ich granice, harmonja. To spokój, to tło życia, na którem wolno nam najjaskrawiej zaznaczyć naszą rację istnienia.

Duży nacisk chciałabym położyć na dobroczynnej roli spokoju.

Obowiązek jest minimalną daniną, okupem za spokój. Spokój jest równoznacznikiem wolności. To słowo już ślicznie, skrzydlato wygląda. Pachnie jak wiatr i jak morze. Samem dźwiękiem unosi pod niebo. Pierś rozszerza się „wolnym" oddechem.

Tak. Za to już warto płacić. Jeśli spytamy o cenę — życie odpowie nam bez namysłu: Za cenę spełnionego obowiązku.

Raz jeszcze wróćmy do upartego trzylatka. Dobrze, udało mu się, rozmazał swoje jajko.

Aliści, okazał się nierozumnym warcholem. Po tem jajku będą mu tłumaczyć (przekonywująco i długo) jak to sobie nieładnie postąpił. Niania popłacze się przytem — potrawa to także czas jakiś. Potem go zaczną szorować. W wieku tym mydła się jeszcze nie kocha i ma się go zwykle pełne uszy i oczy. Potem — przebierać. Wreszcie jeszcze mu nagadają, żeby sobie zapamiętał na przyszłość. A przez ten czas Miś siedzi, nudząc się na kanapie i czeka — a z klocków mógłby już powstać cud — nie budowa. Patrzcie jak chytrze nałożył swoje jarzmo *niespełniony* obowiązek. Chciwy jest coraz nowych niewolników. Biedny trzylatek poprostu wpadł w sidła, łakomiąc się na przynętę fałszywej wolności.

Ten kupiec, któremu nie chcieliśmy pomóc w obliczeniu strat zemści się jeszcze podstępniej. Przedewszystkiem — bestja złośliwa — zepsuje nam cały wieczór. O, będziemy o nim myśleli bez przerwy. Jego niewłaściwie skalkulowana herbata, ta jakaś nieobliczona cyfra, natrętnie przesłoni sobą treść książki „rozrywkowej" wtrąci się do rozmowy z przyjaciółką, da temat do nieskończonych przypomnień „czy już odrobiłaś arytmetykę"?*)

Uciekając przed niefortunną tranzakcją będziemy ją stale mieli na karku. Myślicie może, że w rozkosznej chwili zasypiania uda się pomarzyć o rzeczach miłych, czarodziejskich, prawdziwych radościach życia?

Gdzie tam — kupiec będzie chytrze mrugał to prawem, to lewem okiem:

— Aha? A co będzie jutro? *Dla mnie* musisz wstać wcześniej! Musisz jutro rano obliczyć moje herbaciane straty.

Zapewne — prześpi się jakoś — ale oto rano znów wpadamy w objęcia starego bankruta. Trzeba lecieć nagwałt do szkoły i ściągać. Zaczęło się, oczywiście. Bo też noc z łaski przeklętej herbacianej tranzakcji wcale nie była spokojna. A w szkole? Uda się, czy nie uda? Gęsia skórka do ostatniej lekcji. A potem — cały balast wyrównywania kursu. W niezły kierat zaprzągł nas stary, w dodatku nieprawdziwy, przez autora podręcznika wymyślony jegomość. Bodajby się był nie urodził.

Zresztą — nie urągajmy mu tak już bardzo. Wyciągnął przecie rękę do zgody. Proponował nam lojalnie okup. Chciał — teraz dopiero widzimy, że nie tak znów wiele. Chciał kwadransu skupienia, napięcia cięciwy woli, cierpliwości.

— Ze mną jak z dzieckiem — zapewniał. — Oblicz że mi moje straty lojalnie i bratersko.

Ale rozbłysła przed nami uluda wolności. Chcieliśmy jej za darmo. Nie chcieliśmy płacić — spełnieniem obowiązku. Aż tu — niespełnionemu urosły zęby i pazury. Taka to i wolność.

Ach, i z temi kasztanami nie lepiej, chociaż pachną tak słodko i pszczoły w wiosennem słońcu nabierają tej słodyczy tyle, że ledwo mogą ją dźwignąć. Żelazna koronaLongobardów czemuż ciąży nam w ten wiosenny dzień tak bardzo, jak może nigdy nie ciążyła Karolowi Wielkiemu? Dawno ją już dźwigamy... To jest przecież ładunek tych wszystkich godzin przegadanych, przerysowanych, przespanych **). Dziedzictwo fałszywej wolności, której nie chciało się kupić, którą się wzięło pozornie darmo. Teraz każe zapłacić. Godziną zapachu, godziną biegu, godziną wyścigu z wiatrem pachnącym, godziną młodości — przedwiośnia życia, któremu się jak nikomu, ta prawdziwa wolność należy.

Weźmy tę rzecz na sąd bezstronnego sumienia. Jeśli się w swoim niewielkim właściwie użytym czasie złożyło obowiązkowi konieczną daninę spełnienia — ucicha zaspokojony, jak niemowlę, co dostało swoją porcję ciepłego mleka. Jest łagodny. Nie przeszkadza w niczem. Zsuwa się z horyzontu. Przestaje zasłaniać życie i jego urodę. Na jego spełnieniu we właściwym czasie, miejscu i stopniu stajemy zwycięscy. *Reszta* jest nasza. Nie po nią nie sięgnie. Jesteśmy panami naszych godzin, naszego życia. Teraz, teraz dopiero, ani minuty przedtem, możemy zawołać pełnią radosnej siły:

— Niech żyje Wolność!

Wanda Borudzka.

---

*) Możecie się na mnie nie obrażać, jeśli to będzie algebra, chemja, łacina. Rozumiecie dobrze, że kupcem posługuję się jako symbolem.

**) Hallo! obie Janeczki z „Waszej stronicy". Czynię Was uważnemi. Przyjdzie na Was godzina kwitnących kasztanów, a nie wolno będzie sięgnąć Wam po nią. Co wtedy?

ewa i adam

Od pewnego czasu czuję się źle. Czy to dzieciństwo — to jakoby sielskie — anielskie się kończy? Przecie na miły Bóg, nie zagraża mi żadna klęska. Poprostu nudzę się. Czy może jest mi naprawdę za dobrze. Kryzys ominął nasz dom, jak huragan, co nie chce zaglądać do spokojnej zatoki. Mamusia zawsze jest tak samo śliczna i chodzi na bale. Za dwa lata ja też. Tatusia interesy idą doskonale. Zawsze był taki solidny. Mój pokój różowy jest oazą wypoczynku. Dostałam nową plantację kaktusów. Tobby najukochańszy przytula codzień mięciutką aksamitną głowę do mojej i szaleje ze szczęścia, kiedy wracam ze szkoły. W szkole wszystko jest dobrze. Moje „zdolności literackie" są centralnym punktem zainteresowania klasy. Rozwijają się świetnie jakoby. Wyzbyłam się sztucznego humoru i patosu zaczerpniętego z nieszczególnych książek. Wiersze moje są coraz lepsze. Ostatni — o wronie na suchej gałęzi — był aż nadto łaskawie akceptowany przez „pana od polskiego" — śmieszne, dziecinne wyrażenie. Rodzina spodziewa się po mnie Bóg wie czego. A przecież — czuję się, jakby życie wymykało mi się z rąk. Nie mam jakoś zahaczenia. Godzinami leżę na tapczanie i patrzę na bezlistne gałęzie. Niebo jest szare.

W szkole przestały mnie bawić kawały. Zaczynam rozumieć Ewę. Ach, ta jej niedocieczona królewska pobłażliwość na tak zwane „psikusy".

Ewa... Ależ tak, tu właśnie tkwi przyczyna mego wykolejenia. Takbym się chciała do niej zbliżyć, zapytać...

Ewa jest bardzo inna od nas. Nawet z wyglądu. Młodziutka, to widać — a jednak jakby dorosła. Przecież i mnie niczego nie brak, a jednak przy mnie wygląda, jak księżniczka. Zabawne — zupełnie jak w angielskiej powieści dla młodych panienek. W klasie pojawia się nagle księżniczka — albo córka miljonera od gumy czy stali, czy konserw mięsnych. I cała klasa staje się stadkiem białorunnych uległych owieczek.

Do niedawna podejrzewałam ją o stałe uczęszczanie do fryzjera — te jej śliczne popielate, miękko zaondulowane włosy. I manicure taki nieskazitelny! Raz spytałam ją o to. Potrząsnęła temi swemi półlokami i powiedziała poważnie:

— Gdybym się nie obawiała śmieszności, wsadziłabym głowę pod kran. Ale ślicznie dziękuję. Musisz mi uwierzyć na słowo, że nie.

Spojrzała przytem na mnie swemi granatowemi oczami — i uwierzyłam odrazu.

Na Ewie można polegać. Jest tem, co można określić: wzorowa. Ach, jakże łatwo mogłabym stać się typem nieznośnym, taką „petite fille modele" z francuskiej różowej bibljoteki. Te jej lekcje umiane zawsze tak koncertowo, ta jej absolutna niechęć do podpowiadania, to jej demonstracyjne siadanie osobno na klasówce, aby jej nikt i nigdy nie mógł posądzić o ściąganie, ten brak udziału w rozwydrzonej stronie naszego życia. I to jakieś „piętno" dojrzałości...

O tak Łatwo byśmy mogły znienawidzieć taki typ i trzymać go na dystansie, bagatela, nawet ukarać otwartym bojkotem, gdyby nie:

1-o postępowanie bez zarzutu w stosunku do klasy,

2-o nieodparty wdzięk.

Ma swoje własne wyłączne jakieś obyczaje. Ile razy ma wracać na miejsce po celujących zwykle odpowiedziach — sklania głowę jakimś nieuchwytnym, uprzejmym ruchem, jakby dziękowała profesorowi za trud przepytania jej. Mówi zawsze półgłosem, ale tak jasnym i czystym, że cała klasa jak zafascynowana cichnie i słucha jak wyroczni. Odpowiada: wytwornie — niepodobna tego inaczej określić.

Raz, zdarzyło się coś dziwnego. Przed łaciną powiedziała do mnie na pauzie:

— Nie jestem pewna dzisiejszej lekcji.

Trzeba trafu, że ją właśnie wyrwał profesor. Widziałam, że Halka z którą siedzi, podsunęła jej otwartą książkę. Zamknęła ją nieznacznym ruchem i odsunęła od siebie. Dostała trójkę — najgorszą swoją ocenę z całego okresu. Nie drgnął jej jednak żaden muskuł na twarzy. Uśmiechnęła się nawet, siadając. Nie usiłowała się wykręcać. Powiedziała poprostu:

— Nie umiem tego dobrze, panie profesorze.

— Wobec tego mam nadzieję, że pani sobie to zechce powtórzyć...

A „Smok" jest srogi i nieubłagany. Zmuszony był jej prostotą do tej zaiste towarzyskiej wypowiedzi.

Każdej z nas dostałoby się ostro słowo. Bo też, Boże drogi, patrząc na Ewę myślę czasem, że musimy jej się wydawać stadem gęsi. Jakże my się zachowujemy przy nieumianej lekcji? Rzuca się ramionami, czerwienieje jak burak, łamie palce, torturuje brzeg fartuszka, a przedewszystkiem bąka się ni to, ni owo i zakłamuje do ostatniego tchu. Ewa nie uznaje blagi. Poprostu nie rozumie jej. Zresztą wogóle nauczycielstwo odnosi się do niej z specjalnym szacunkiem. Wczoraj przełożona miała z nią dłuższą rozmowę na korytarzu — a po skończeniu podała jej rękę, jak dorosłej osobie.

Umie się skupiać. Nie, nie, wgapia się w nauczyciela łowiąc i notując z pasją każde słowo. Od czasu do czasu zapisuje krótkie zdanie swoim przejrzyście czytelnem pismem w eleganckich bruljonach z żółtą połyskliwą okładką. Zsuwa brwi. Nie pozwala sobie przeszkadzać. Kiedyś, podczas historji ciśnięto jej na pulpit kulkę papierową z jakąś klasową wiadomością. Panna G. miała wykład o Joannie d'Arc. Wykłady p. G. są cudowne. Och, powinna oddawna mieć katedrę na uniwersytecie!

Jakimże ruchem Ewa strąciła z pulpitu tę kulkę! Było w tem poprostu obrzydzenie.

Kazia, która cisnęła ładunek wpadła na Ewę po lekcji.

— Dlaczegoś strąciła kulkę?

— Przepraszam cię bardzo — ale przeszkadzała mi *uważać*.

— Patrzcie, jaka pilna!

— Niestety — Joanna d'Arc wydała mi się bardziej absorbująca. Gdybyś przysłała mi swój ładunek na słówkach francuskich przypuszczalnie, zainteresowałabym się nim. Zresztą — czy mi nie wolno *uważać*? Mam swoje osobiste poglądy na fakt uczęszczania do szkoły. Uczę się przeważnie na lekcjach. Czy głos opinji jest przeciw?

Trudno było coś na to powiedzieć. Ponieważ mam zamiar wykształcić się na rasową nowelistkę, nie mogę pominąć ważnego punktu w charakterystyce Ewy. Ma swoje momenty szału. O nie, nie siniaczy sobie boków o ściany korytarza na pauzach. Ale widziałam jej twarz na spacerach, przy siatkówce i na ślizgawkach. W Łazienkach wącha wiatr, jakby była psem gończym. Jeśli biegnie — tenże wiatr nie byłby chyba w stanie dogonić jej.

— Ewo, Ewo, powinnaś zrobić karjerę sportową.

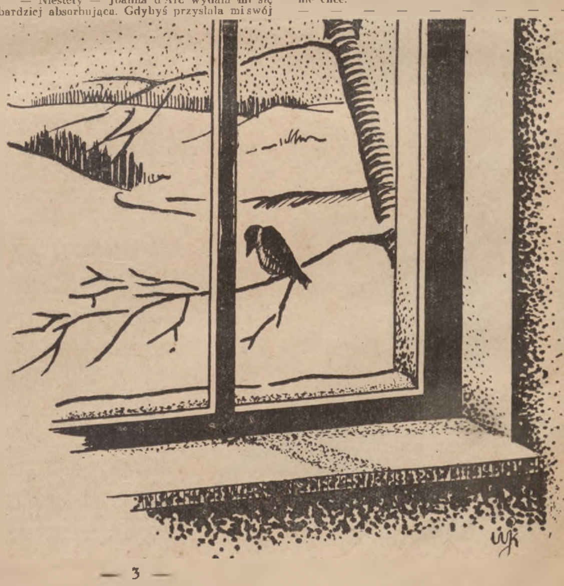
— Nie. Zrobię inną karjerę.

Jaką? Głowię się nad tem nie od dziś. Pisze dobrze, ale bardzo jakoś zwięzle i powściągliwie. Prowadzi wszystkie szkolne przedmioty tak równo, że trudno w tem jakąś pasję odnaleźć. Nie mówi nic. Więc co?

Jedno jest pewne. Otacza ją niewątpliwy dobrobyt. Jej mundurki wykończone są mało powiedzieć, starannie. Lśni wszystko od czystości. Od czasu do czasu przynosi bukiecik fiołków. Stawia go na pulpicie w malutkiej szklaneczce — a czasem podczas lekcji historji na katedrze. Kiedy sama zainicjowała składkę za zbitą szybę wyjęła 20 zł. i prosiła o zmianę. Ma więc dużo pieniędzy na swoje wydatki. Ale czyżby Ewa, właśnie Ewa poprzestała na wegetacyjnej atmosferze dobrobytu?

Męczy mnie ta cała jej zagadkowość. Jakże chętnie zaprosiłabym ją do siebie, żeby porozmawiać z głębi serca. Ale cóż. Prosiłam ją raz na niedzielę. Zastanowiła się chwilę, drgnęły jej te długie „firankowe" rzęsy — i odpowiedziała, że ma umówioną niedzielę. Może więc, nie chce.

— — — — — — — — — — —



Niechcący stałam się właścicielką tajemnicy Ewy. Koło jej ławki znalazłam zwiniętą kartkę. Myśląc że to ściągaczka rozwinęłam ją chcąc oddać Hulce (to jej stały arsenał obronny).

Ewa zaczerwieniła się i odebrała mi kartkę. Ale przedtem zdążyłam przeczytać:

— Ewo! Nie niepokój się, będę dopiero o 7-ej. Adaś.

Jest więc Adam w jej życiu. Zabawne - to jak w Biblji. Poza tem jestem pewna, że Ewa zerwałaby to jabłko. Jest chciwa poznania i romantyczna. Ta nieprzenikniona tajemniczość jest romantyczna. Jakie jest jej życie osobiste? Gdzie się spotyka z nim? Czy w Łazienkach? (Mieszka w tamtej okolicy — odprowadzałam ją parę razy).

Kim on jest? Pismo b. poprawne, nie sztubackie. To od niego te fiołki! Jakaż bajka osnuwa życie naszej księżniczki!

Spytałam ją wczoraj:

— Czy nikt z naszej klasy nie bywa u ciebie?

— Nie chciałabym oddawać swego życia pod akcept klasy.

Doprawdy możnaby przypuszczać, że dzieje się z nią coś tajemniczego. Gotowabym pomyśleć, że jest fordanserką — ale przecie jest zamożna, więc nie potrzebuje.

Dziś też odprowadziłam ją kawałek. Jest najprawdziwsze przedwiośnie. Właśnie była ustała śnieżyca i słońce przecięło nam twarze złotym ukosem. Ewie oczy rozpaliły się jak dwa barwinki.

— Czy kochasz słońce, Ewo?

— O tak. Nie mogłabym mieszkać w pokoju bez słońca.

— Czy mieszkasz w której z tych willi?

— Nie. Trochę dalej — i — przepraszam, ale muszę już iść sama. Mam się z kimś spotkać.

Naturalnie! Z Adamem!

— Nie będę niedyskretna. Czy lubisz mnie trochę Ewo? Bo wiesz... ja poniekąd żyję teraz Tobą.

— Lubię cię, owszem — nawet bardzo cię lubię — uśmiechnęła się zupełnie dziecinnie. — Twoje pytania nie są natrętne. Tylko widzisz— moje życie jest pełne po brzegi. Trudno mi wtłoczyć weń — przyjaciółkę. Ale — może da się to zrobić.



Uścisnęła mi mocno rękę i szybko odeszła w nową falę [illegible]

Nie śmiałam iść za nią. Kogo spotkała w tej białej zawieji? Jak wygląda jej szczę-[illegible]?

Jestem dziś zupełnie oszalała z radości. Po powrocie ze szkoły zrzuciłam mamie jej srebrnego lisa z nowego kostjumu, porywając ją w objęcia.

— No, przecie, wyjrzało słoneczko — bo byłaś jak sowa w ostatnich tygodniach. Ale rozumiem siedemnaście lat i wiem, że niektóre rzeczy trzeba w samotności odrobić. Co się stało Kita?

— Dziś pójdę do Niej Mamusiu! Mam adres.

— Do twojej wzorowej „fordanserki"?

— Ona nie jest nią napewno, Mamusiu. To było jedno z moich przelotnych przypuszczeń.

— Dziecko, mnie jest wszystko jedno czem jest. Z twoich opowiadań — a polegam w zupełności na twoim zmyśle obserwacyjnym — wiem napewno, że to porządna dziewczyna. Opowiesz mi o swojej wizycie?

— Tego nie wiem. Mamusiu. Jak Ewa zdecyduje.

— No, mam nadzieję, że nie zechce knuć z tobą spisków przeciw rodzinie. Wierz mi to dobra instytucja — i nic lepszego nie znajdziecie w waszej przebudowie świata. No, ale cieszę się, żeś się rozchmurzyła. Bo ostatniemi czasy nawet Tobby posmutniał. Teraz rozumiem, że w cichości dociekałaś tajemnicy księżniczki. Weźmiesz pieseczka ze sobą? Miałby wielką ochotę na spacer!

— A jeśli ona ma białą angorę. Mamusiu? Zapomniałam zapytać.

— To zostaną dwa ogony. Trudno, niech Tobjaszek nie ryzykuje. Pójdziesz ze mną pieseczku, niech Kita idzie sama w swoją romantyczną przygodę. Ale pamiętaj córeczko, że absolutnie żądam rewizyty Ewy. Nie bój się — przyjaciele naszych przyjaciół... A może córki — ponurej mrukliwej córki—nie zaliczamy do przyjaciół...

— Mamusiu!!! Rzeczywiście zaniedbałam Cię ostatnio... ale byłam taka jakaś zbita z tropu.

Notuję każde słowo tej rozmowy, bo piszę tę rzecz zupełnie świadomie jak nowelę. Staram się ją *budować* jak się kolejno, cegła po cegle stawia dom. Jak skończę, t. zn. rozwikłam tajemnicę Ewy i jeśli ona pozwoli dam to Mamusi do przeczytania. Bardziej fascynującego tematu nie widzę w otaczającej mnie rzeczywistości.

Zaraz przebieram się w śliwkową, welwetową suknię (gwóźdź mego sezonu tualetowego) i idę. Jakże Ci jestem wdzięczna moja ukochana księżniczko, że pozwolisz mi przeniknąć w atmosferę bajki. A jak się to wszystko prosto załatwiło! Na ostatniej pauzie Ewa spytała [illegible]

— Masz czas o 6-ej dzisiaj?

Jabym dla niej nie miała czasu!

— Ależ tak.

— To przyjdź do mnie. Tu masz adres dokładny. Będziemy miały czas porozmawiać. Tylko Kito — uprzedzam — przygotuj się na egzotyczne wrażenia!

— Ciebieby nie otaczała egzotyczna atmosfera! Może jesteś córką hinduskiego władcy? Ale nie... te popielate włosy.

— Jesteś mały głuptas. Więc 6-ta punkt!

Ewo, Ewo!

Ale nie. Przysięgłam sobie pisać wszystko po kolei, aż do dna tajemnicy, do samej jej głębi. Ewo, moja ukochana przyjaciółko — dziś mogę Cię już tak nazwać — jakąż ogromną rację miałaś, mówiąc o egzotyce. Wróciłam z szumem w uszach, jakby grały mi w głowie najfantastyczniejsze instrumenty muzyczne. Ach jakże dzwoni, dźwięczy i płacze nieporównana z niczem prawdziwa melodja życia!

Nie czuję się na siłach budować dalej mojej noweli. Będę stenografowała zdarzenie po zdarzeniu, słowo po słowie, obraz po obrazie. A może w obliczu czegoś nieoczekiwanego, czegoś co chwyta za gardło, trzeba się stać poprostu niewolnikiem tematu, nie wtrącać do niego, oddać go tylko jaknajwierniej? Nie wiem. Trudno mi rozumować logicznie w tej chwili.

Było już ciemno, ulicę zawiewał śnieg. Pogoda z andersenowskiej bajki o królowej lodowców. Puls walił mi w skroni. W zawierusze zdawało mi się, że widzę sanki podlatujące w chmury płatków, a w nich jaśniejącą w rozpylonym obłoku białą, ściętą mrozem, twarz Ewy.

A może wbrew moim oczekiwaniom jest sama na świecie? Może ją ktoś prześladuje? Skąd to niepokojące zwidzenie? Ale prawda. Jest Adam. Fiołki i tajemnicze spotkania w zawieji. Jaka jest twarz Adama? Złe to jest, czy dobre w jej życiu oblicze? Jakie siły niosą tę dziewczynę - zagadkę przez jej dni i noce, o których nic się nie wie?

Nagły skowyt wiatru i poryw rozburzył moje majaki. Stałam przed oświetlonym, poprzez mleczne szkło, numerem jej domu. Trzeba było wejść. Serce załukło raz jeszcze mocno i ucichło jak ptak, który się bardzo czegoś przestraszył.

Dziś wiem, że wobec sprawy Ewy niczem są moje wrażenia, ale wszystko to szło przeze mnie, jak melodja przez struny. Muszę więc być w tem dalej i ja.

Chwilę stałam w ciemności. Było cicho. Wiatr opadł nagle i znieruchomiał. Położył się spokojnie przed progiem jej domu. Jedyne światełko na schodach majaczyło o kilka stopni niżej. Zeszłam, żeby złapać jakąś wskazówkę. Zastukałam do drzwi. Otworzyła mi

— Ewa.

Stanęła na progu jasno oświetlonego przedpokoju.

— No tak, to tu. Dobry wieczór.

Twarz miała poprostu rozjarzoną uśmiechem. Mocno ujęła obie moje, czerwone od mrozu, ręce w swoje gładkie i białe.

— Dziękuję, że przyszłaś Kito. Wiem, że cię zmęczyłam porządnie. I to wszystko po to, żeby ci sprawić przypuszczalnie pierwsze życiowe rozczarowanie. Żal mi ciebie i żal tej o mnie złotej legendy. Bóg świadkiem, nie moja wina, że przyszła na świat z mego powodu. Ale proszę, wejdź do pokoju. Za chwilę wszystko legnie u twoich stóp „odarte ze złudzeń". Czy wybaczysz mi to, Kito, kiedykolwiek w życiu?

Z gardłem jeszcze ściśniętem nie byłam w stanie wymówić słowa. Zdjęłam futro i boty i weszłam do pokoju. Oczy moje przepłoszone nagłością wrażenia obleciały go dokoła.

Pokój był śliczny. Nie, nie był to buduar luksusowej willi.

Była to suterena. Sucha i ciepła zresztą. Żółte światło sączyło się przez celofanowy abażur gdzieś z bocznej ściany. Na podłodze leżał kilim. Tapczan przykryty był jakąś niklą w szafirowe kraty tkaniną. Jasne meble nieporównanie proste. W powietrzu unosił się rzeźwy zapach sosnowych gałęzi, których bukiety stały na biurku i szafce do książek.

Ewa stała przy biureczku z ręką w kieszeni domowej sukienki z najmodniejszej w paski flanelki. Włosy, jak zawsze, odrzucone do tyłu. Biały kołnierzyk i mankiety lśniły i aż pachniały czystością. Czekała aż usiądę, uśmiechając się ciągle. Na biureczku stały świeżo fiołki.

— Kito pozwól, że zabiorę głos pierwsza. Usiądź tylko wygodnie i słuchaj:

Nie lubię mówić zadużo wogóle, a w szczególności o sobie. Wiesz o tem. Więcej — nie lubię jeśli o mnie mówią cośkolwiek.

Wiem. — dodała szybko, widząc że chcę jej przerwać — wiem, że mówią o mnie rzeczy dobre, jakąś fascynującą niezwykłością podszyte. Wiem, że uważają mnie w szkole za magnatkę, czy dobrą wróżkę odbywającą okres swego zaklęcia w postaci uczennicy. Wierz— nie było mi i to także zbyt miłe.

Szanuję jednak cudze złudzenia — a puste miejsce po złotej legendzie musiałabym wypełnić bardzo szarą rzeczywistością. Twoich, specjalnie złudzeń, było mi żal. Czułam się ostatnio bardzo kolorową treścią twego życia. Zaprosić cię tu do siebie... Powiedzieć wszystko — a muszę teraz to zrobić, bo inaczej nie zrozumiesz nic z mego życia — odwlekałam tę chwilę. No, ale trudno. Skaczmy głęboko w tę wodę. A woda będzie — uprzedzam cię — lodowata.

Postaram się mówić krótko — a nawet przeważnie cyframi. Mieszkam — jak widzisz. Tak. W suterenie. Niech cię to nie przeraża jednak. Pod oknem moim rośnie krzak bzu. I wchodzi do niego słońce. Budzę się ze złotą smugą na twarzy. I jest to właściwie wszystko, czego mi do szczęścia potrzeba.

Za mieszkanie to płacę niedrogo. 60 złotych z opałem — centralne ogrzewanie. Wilgoci nie mogłabym znieść! Z domu dostaję tylko te 60 złotych. Resztę wydatków osobistych: ubranie, światło, utrzymanie pokrywam z własnych zarobków. Dziwisz się, Kito? Otwierasz szeroko oczy? Może teraz zechcesz zrozumieć moją szkolną wzorowość. Na odrabianie lekcyj poświęcać mogę najwyżej godzinę dziennie. Dlatego nie opuszczam żadnego słowa z wykładów. Wy wszystkie — szczęśliwe — chociaż ja już tego nie uważam za szczęście — możecie sobie pozwalać na luksus próżniactwa. Mnie tego nie wolno. Ja jestem już ciężko na chleb pracującym człowiekiem. I nie płacę wpisu. To dług, który zaciągam u szkoły — zwrócę go z czasem. Ale jakby mnie traktowano, gdybym tę szkołę miała dziś wyzyskiwać za darmo?

Naszemu nauczycielstwu zresztą dużo zawdzięczam. To oni dają mi korepetycje — uczę dziesięć dziewczynek z naszej szkoły. Chodzę do nich — czasem one do mnie. Jestem znana. Uczę już trzeci rok. I trzeci rok idę o własnych siłach.

— Widzisz, jak to wszystko wygląda, nawet w tem tu, kolorowem świetle, zwyczajnie. Dziwi cię może w tej „nędzy" względnie wytworny pokój? Jest jeszcze malutka gazowa kuchenka i umywalnia za temi drzwiami. Na to się złożył kolejno szereg świąt i imienin. Dostałam te rzeczy jedną po drugiej od rodziny w Warszawie która, nie przyczyniając się niczem do mego utrzymania, starała się pomóc w ten sposób. Wszystko zresztą zamawiałam i kupowałam sama. Dowierzają mi co do gustu. No i Adam...

— Kim jest Adam, Ewo? — zdołałam wykrztusić.

— Brat. Mieszkamy tu razem. Śmiejesz się z tego pewno, Kito. Brat, z którym się umawiam, od którego dostaję fiołki i serdeczne bileciki. Tego się nie spotyka w życiu zazwyczaj. Och, Kito — u nas nie może być inaczej. Kochamy się tak bardzo. Idziemy razem krok w krok. Pracujemy. On jest starszy odemnie o rok i też w 7-ej klasie. Nie mamy służącej. Obiady robi nam sąsiadka — śniadania i kolacje przyrządzamy sami. Sprzątamy też. Czysto tu, prawda?

— Ewo! Twój manicure!

— Gumowe rękawiczki, poprostu. Kito, ja muszę się trzymać na poziomie, nawet wyżej poziomu. W moich warunkach tak łatwo byłoby się wykolejć. Rzucić szkołę... Nam tego nie wolno. Dźwigamy wielki ciężar zaufania Mamy, która od piątej klasy pozwoliła nam żyć samodzielnie. Nie może zresztą inaczej. W wojnie straciła wszystko. Teraz zarabia szyciem w małem miasteczku. 60 zł., to wszystko, co może nam dać.

Podziwiacie zawsze moje śliczne suknie. Tak, posyłam jej materjał, a ona mi szyje. Zna na pamięć moje wymiary. Zresztą na mnie to łatwo idzie. Natura nie upośledziła mnie pod tym względem.

— Czy dobrze odżywiacie się, Ewo?

— Jakby to powiedzieć? Skromnie. Kasza, kluski — przeważnie. Biały ser. Dwa razy tygodniowo jadamy u rodziny. Adam ma obiad za lekcję. W niedzielę jest zawsze kakao. Sama je przyrządzam.

Widzisz Kito, jak to niebezpiecznie spojrzeć za kulisy czegoś co *wydaje się* piękne. Z księżniczki zostaje kopciuszek i kupka szarego popiołu z którego wybiera dzień po dniu ziarnczko maku.

— Ewo — nie mów. Twoje życie jest *bajką*. Nie waż się bluźnić...

— Mówię tylko prawdę. Przecie to ty jesteś prawdziwą księżniczką. Willa, samochód, wytworny pies. Spokój o jutro. Niewiedza o... cenie za elektryczność. Drzewa za oknem. Za moim tylko ten mały krzaczek pospolitego bzu.

— Ewo, Ewo. Nie wierzysz w to co mówisz, albo nie masz dla mnie ani odrobiny szacunku. Twoje życie jest poprostu melodją. Przez cały czas mam uczucie, że tam za oknami coś gra.

— Może wiatr zerwał się znowu.

— Nie, to nie wiatr. To życie samo trąca o struny. Ty żyjesz Ewo — my tylko czekamy na życie. Tulisz je do przedwcześnie tęskniącego, dojrzałego serca. Nasze ręce otwarte i gorące może nigdy go nie zdołają pochwycić...

Oczy Ewy nagle rozbłysły wilgocią i zapaliły się tym jej barwinkowym szafirem. Ucałowała mnie mocno.

— Dziękuję ci, Kito — powiedziała codziennie i prosto głosem, którym rano mówi nam w klasie — Dzieńdobry.

Potem przyszedł Adam. Piliśmy herbatę. Wróciłam późno i piszę. Nie, nie mogę już dodać ani jednego słowa. Czy może się tak zakończyć nowela?

Wiatr ucichł i nie zerwał się więcej. A przecie gałęzie za oknem drżą jak struny napięte [illegible]

Halina Jodłowska.

MARY I KURCZĄTKA.

Gdy Mary Sadler miała 14 lat, otrzymała od ojca kilka malutkich kurczątek. Z tym „kapitałem" rozpoczęła hodowlę i dziś, mając 17 lat, może się pochlubić niebylejakimi rezultatami. Panna Mary jest bowiem obecnie właścicielką dużej fermy w okolicach Newcastle (Anglja), — posiada 700 sztuk drobiu i otrzymuje przeciętnie 150 jaj. Trzeba zaznaczyć, że dzielna Mary sama zajmuje się całą fermą — sama prowadzi hodowlę, sama robi zakupy, załatwia swe interesy i t. d.

Młoda hodowczyni, uważana już za specjalistkę w swym fachu, zdobyła wiele nagród na różnych wystawach.

STUDENTKI UNIWERSYTETU W ARIZONIE (Ameryka)

starają się, jak mogą, urozmaicić sobie życie. Między innemi, wprowadziły zwyczaj przy[illegible]nia do szkoły i z powrotem na rolkach. Właśnie widzimy, jak cztery urocze studentki udają się, po skończonych wykładach, do domu, włożywszy rolki, ku wielkiej uciesze swoich kolegów.





MYSZ ZATAMOWAŁA RUCH ULICZNY.

Na jednej z najruchliwszych ulic Londynu znalazła się niewiadomo skąd — mysz. Jakaś pani ujrzała ją, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się do ucieczki, inne kobiety zaczęły również uciekać, naprzełaj przez jezdnię, nie zważając na sygnały samochodowe. Z aut, gwałtownie hamowanych zrobił się zator, tramwaje również stanęły — a tymczasem mysz znalazła jakiś rynsztok i zniknęła. Długa chwila minęła, zanim policjanci zlikwidowali zamieszanie, spowodowane przez biedną, przerażoną myszkę.

ORYGINALNA KSIĄŻKA.

Pewien młody literat francuski, pragnąc zachęcić czytelników do przeczytania swej najnowszej książki, wpadł na oryginalny sposób wydania jej. Wydrukował ją mianowicie na kartkach pocztowych w ten sposób, że każda kartka zawiera jeden rozdział powieści, a ciąg dalszy znajduje się na następnej, numerowanej kolejno. Kto przeczyta jeden, lub kilka rozdziałów, napewno kupi następne kartki, aby interesującą powieść przeczytać do końca.

10 DNI W ŚWIECIE

Pewien Japończyk, mieszkający w Kalifornji, postanowił sztucznie wyprodukować owoce. W tym celu porozciągał na przestrzeni swej fermy druty elektryczne o wysokiem napięciu. Włożywszy w swoje przedsięwzięcie wiele pracy i energji, doprowadził zamiar do pomyślnych rezultatów. Na zdjęciu widzimy jedną z japońskich pomocnic hodowcy, która z miłym uśmiechem prezentuje nam wspaniałe okazy truskawek, sztucznie wyhodowanych.



Dziewczynka z Igloo.

Z cyklu: *„Dziewczęta całego świata"*.



...prawie niedźwiadki

Marja, tak po duńsku na chrzcie nazwana, wracając ze szkoły do domu, powtarzała dzisiejszą lekcję; z historji i geografji swego kraju:

— Grenlandja, największa w świecie wyspa. W 10-tym wieku odkryli ją Islandczycy, w 17-tym wieku przyjęła chrystjanizm. Eryk Normandzki nazwał ja Zieloną Wyspą (chyba na żarty!). Na wąskim pasie okalającym górzystą przestrzeń 2 miljonów kilometrów kwadratowych, z których tylko 17 niepokryte górami lodowcowemi, mieszkają Eskimosi, jedna z najstarszych ras na ziemi. Jest ich obecnie zaledwie 15 tysięcy (w tem ja...).

Dziewczyna miała lat piętnaście, a wyglądała na małe dziecko. Ale wszystkie mieszkanki Grenlandji, równie jak mężczyźni, jak cała zresztą żółta rasa, są niskiego wzrostu. Dziś jeszcze Marja mało się różni od siebie — dziesięcioletniej, gdy poraz pierwszy przestąpiła próg szkoły — jeszcze prawie niedźwiadek. Ubrano ją tam w śliczny narodowy strój, uczesano niesforne włosy; wesoło uśmiechnęły się skośne oczka, nawet żółta cera wyładniała.

Marja wracała do swego domku, do Igloo, ale wśród oślepiającej białości znaleźć go było trudno, gdyż stanowił część śniegu. Pomógł jej w tem poszukiwaniu słup dymu, który wydzierał się prawie z pod ziemi.

Ktoby się spodziewał, że w tej górce chałupa się ukrywa! Dopiero w środku widać izbę dość obszerną i dużą sionkę.

Chałupa, zbudowana z kilku materjałów· zewnętrzny — to śnieg, potem idzie warstwa mchu, dalej drzewo, od wewnątrz zaś cała chata wyklejona papierem. Raczej staremi gazetami i kartkami książek, pełnych kolorowych obrazków. Przyglądasz się historji, której początek na ścianie, szukasz dalszego jej ciągu na pułapie, aż w głowie kręcić się zaczyna, jak w lustrzanym gabinecie złudzeń. A to jest grenlandzkie kino, nawet mówione...

W zimowe wieczory, rozjaśnione księżycem i lampką płonącą foczą oliwą, przy ognisku, gdy wszyscy pracują, ktoś jeden, kto dłużej od innych żyje, opowiada co w długiem życiu widział czy słyszał. A także co pamięci jego przekazał ojciec i dziad, co dzisiejsze, po duńsku drukowane książki, powtarzają.

Nie, nie wszyscy pracują. Kobiety i dziewczyny na kaftanach i butach barwną skórą wyszywają pomysłowe desenie, albo nawlekają na nitki nieskończoną ilość drobniusieńkich pacioreczek, z których splatają pelerynki, małe i większe, stosownie do zamożności czy pilności. Ale mężczyźni, całe dnie zajęci połowem ryb, polowaniem, czy naprawianiem sieci, pozakładali w rękawy spracowane ręce i ciesząc się ciepłem, słuchają, co na ten wieczór wybrany starzec opowiada.

„Dawne to były czasy... Żył pewien człowiek, imieniem Akigsiak, który plecy miał szerokie, jak dwie osoby razem wzięte, a był trochę mniej wysoki, niż gdyby dodać jedną osobę do drugiej. Wszystkim to było dziwne, ale dla wielu niemiłe. Od wieku wiadomo, że każdy tu żyjący powinien być mały a krępy.



...Grenlandja, największa wyspa...

Kto ponad miarę wyrasta, ten widzi rzeczy innym niedostępne. Z lodowatego pyłu widzi jak tworzą się nadpowietrzne zamki, gdy idzie na polowanie, dostrzega zwierzęta, nie wszystkim oczom dostępne, w głąb morza głębiej sięga, zabija i łowi więcej, niż cała gromada. Dawne to były jeszcze obyczaje, każdy łup swój dla dobra ogółu składał, razem praca, razem sytość. Wspólnie wszystko jedli, ale gdy trzeba było, wspólnie też głodowali. Zgoda panowała — bez duńskiego policjanta. Aż pewnego razu... Obfitsze jeszcze, niż zwykle, roku tego było polowanie Akigsiaka, sieć jego najwięcej ryb zagarnęła, lanca jego ponad ludzką miarę, wprost niezliczoną ilość ptaków dosięgnęła. Zaczęto się z niego wyśmiewać. Raczej cieszyć się należało, ale ludzie nie lubią, jeśli ich ktoś o głowę przerasta. Zaczęto żartować... Wiecie, taki był niegdyś zwyczaj, że wśród zabawy śmiechem i śpiewem karcono ludzkie przywary. Akigsiak razem ze wszystkimi się śmiał, śmiał długo, aż go zdjął gniew, wielki gniew, bo sam był wielki, i nóż zaostrzony na fokę wyjął zza pasa. Bójka się zaczęła, ale choć ponad innych wyrastał, nie mógł się oprzeć liczbie. Jedna rana w głowę zadana, druga w szyję, trzecia w serce, zamilknąć kazały sercu. Upadł krwią zlany. Zima roku tego była sroższa, niż kiedy, trudno w ziemi grób kopać, więc odwiecznym obyczajem rzucono ciało do morza. Morze wzięło go na swe barki, zaniosło daleko, do takich krajów, gdzie wolno jednemu nad wszystkich wyrastać..."

Marja myślała, że teraz coraz więcej na świecie, coraz więcej u nich ludzi, którzy ponad innych wyrastają. Kto wie, może ona też...

Starzec, myśli jej nie znając, dalej opowiadał o smutnym losie silnego człowieka:

„Taki był koniec wielkiego Akigsiaka i nie mógł być inny, bo takie było jego przeznaczenie. Przeznaczeniu nikt nie ujdzie. Ale by pewniej go dosięgnąć, zanim go zabito żywego, zabili jego duszę. Zmówili się dwaj najwięksi wrogowie, z drzewa laleczkę zgrabną wyrobili, oczka zmarłego dali jej i dwa ząbki prawdziwe wprawili w otwartą buzię. Wrzucili do morza. Ta sama woda przyjęła potem prawdziwego Akigsiaka".

Starzec bajał, a tymczasem słów bajki nie słuchająca foka uwięzła w zasadzce, a tymczasem chytry niebieski lis wpadł w potrzask, a tymczasem biały zajączek złapał się w pułapkę. Na dodenku, śnieżny niedźwiedź, lew północnej pustyni, wybrał się na żer, zjadł rzadko spotykanego tu renifera i szedł na przeszpiegi, zobaczyć, co ludziska robią, gdy nagle z pod pagórka kryjącego Igloo, wychyliło się kilka osób. Marja w ich liczbie

Miło w godzinie, o której wiadomo, że jest ranna, wyjść na wielostopniowy, cichy mróz, w bardzo ciepłej odzieży. Ludzie udawać muszą zwierzęta, cali zaszyci w skóry z długim na wierzch włosem, wszystkie wieki i obie płci jednako ubrane. Spuścili na oczy, do czapek przytwierdzony, daszek drewniany, który od zbyt wielkiego światła chroni. Idą zlustrować obejście, a może w dalszą udadzą się drogę, bo zakładają do sanek psy. Osiem w poręcz, dwa z nich przy dyszlu, tamte luzem, złączone lejcami, krzyżującemi się ze sobą w drodze, za nim do rąk stangreta, jako dwa cugle dojdą.. Mocno je grube rękawice trzymają. Psom jak i koniom, niezbyt popuszczają cugle! Prędko się męczą, choć takie są wytrzymałe!



...śnieżny niedźwiedź wybrał się na żer

Ojciec usiadł na końcu sanek, na lekkiem, plecionem krześle. Marja zmieściła się obok. Rzucił słowa komendy przodownikowi sfory, ten powtórzył je reszcie zaprzęgu. Ruszyły psy z miejsca, rwały z przeraźliwym skowytem, biorąc po 20-cia kilometrów na godzinę.

Przed oczyma podróżnych, z jednej i drugiej strony świeżo utartej drogi, przesuwała się wciąż ta sama panorama: śnieg, śnieg, śnieg... Mijali Igloo, czasem drewniane domki, rzadko sosny, w końcu dotarli do osady wielorybniczej, która była celem drogi. Chodziło o tranzakcję handlową: sprzedaż fok i kupno oliwy.



..ubrane po dawnemu

Marja mało się tem interesowała, bo musiała nakarmić psy zmarzłą rybą. Poczem dopiero sama się pożywiła i w drogę z powrotem! Gdy psy już dobywały ostatka sił, i niepomagała wciąż przez dziewczynę powtarzana zachęta „Moc hoosh" — głos jej w tem pustkowiu brzmiał jak chrzęst kości — ojciec założył rysaki inaczej, parami, jeden na czele, sam zaś z córką zeszedł z sanek. Biegł obok, ona go wyprzedziła, mała jej postać wciąż znikała w śnieżnej białości.

— Może kiedyś będę rywalką Walasiewiczowny — marzyła.

W lecie miała Marja inne rozrywki. Gdy ukończyła szkołę, w nagrodę za wzorową naukę, dyrektor obiecał jej, że dla poznania swej ziemi, pojedzie ze starszym bratem, również pilnym uczniem, duńskim pięciomasztowcem *Copenhague*, statkiem spacerowym, który tu przybędzie, aby zwiedzić wschodnie wybrzeże wyspy. Ileż z radości spędziła białych, nieprzespanych nocy!

W Cap Yorku wsiadła na okręt, który najpierw płynął dostojnie, potem zaś z jednej wodnej górki wchodził na drugą, na godzinę robił kilka węzłów, chwilami zaś tylko karambolował, odbijał od śnieżnej masy, aby uderzyć w następną. Tymczasem coraz wyższe obok stawały białe góry, sięgające wzrostem masztów: zresztą o ich wysokości nic nigdy dokładnie powiedzieć nie można, gdyż pod wodą jest dziesięć razy tyle i tak wysokich, jak te, które wychyliły się na jej powierzchnię. Naprzemian błękitne i jasno zielone.

Jakiś marynarz objaśnił, że w ten sposób zginął Tytanik. Dziś zaś, gdy lodowe góry blokują statek, nie walczy on z nimi, lecz stula się w sobie, noc całą z miejsca nie rusza, czeka zmiłowania dnia jasnego, a tymczasem przez T.S.F. woła ona o pomoc rozbijacza lodów, który może unieszkodliwić całą górę — od jej szczytu do jej niewidzialnego korzonka.

— S.O.S. — S.O.S — S.O.S. — Ratujcie nasze dusze, tak się woła, prawda? — pytała dziewczyna. Śniło się młodej główce, że to ona siedzi przy aparacie, od sprawności jej rąk i wrażliwości jej ucha zależy ratunek tych nieszczęśliwych. Maria zdecydowała już — na dziś — o swym losie — będzie radjotelegrafistką.

Czasem przychodziła burza, na wsze strony miotała chorągwią duńską, na czerwonem tle białym, prostokątnym krzyżem, kładła maszty na falach, raz zbyt na prawo, raz zbyt na lewo! Czarny ptak niebezpieczeństwa złowrogo powiewał skrzydłami! Byleby mu uciec jeszcze tylko ten raz! Niekiedy znów było, jakby w krainu ciszy i wówczas przechylona przez burtę okrętu patrzyła na fale. Woda północna bywa tak biała i tak przezroczysta, że widzisz w niej siebie, jakobyś zwierciadło trzymał w ręce, a powietrze tak jasne i lekkie, że brzeg wyspy rozciąga się daleko, jak okiem sięgnąć. W jednych miejscach wąski był na kilka kilometrów, gdzieindziej zaś na 200 kilometrów, a dopiero za nim wznosiła się biała pustynia. Kochana ojczyzna!

Pewnego dnia podróżni zobaczyli wysoką wieżyczkę i spadzisty zielony dach. Przewidujący Eryk Normandzki, może wcale nie dla ironji, tylko z myślą o niej, dał nazwę odkrytemu przez siebie krajowi?

— Kościół! — zawołali wszyscy radośnie, jak niegdyś Grecy powitali: „Morze", a Kolumbowi towarzysze: „Ziemię".

Wieżyczka strzelała w górę, z niewielkiego drewnianego kościołka, wokół którego większe i mniejsze rozsiadły się domki.

Statek zarzucił kotwicę i część załogi przeprawiła się na brzeg. Cisza, tylko z za węgla wypadły psy, zwykłe kundle różnych barw. Poszli dalej. Przez otwarte drzwi schludnych domków widać było skromne, ale miłe umeblowanie — nikogo.

— Przecież to dziś niedziela...

Lud eskimoski właśnie wychodził z kościoła. Ostatni ukazał się pastor w długiej czarnej szacie, z białą kryzą u szyi. Coś jakby adwokat francuski w łodze, jakby bohater moljerowski, albo średniowieczny mędrzec.



Wszyscy obstąpili przybyszy, starając się z nimi porozumieć. Znalazł się jeden majtek wszędobylski, który chlubił się, że może służyć za tłumacza. Marja chciała mu pomóc, ale uparł się, że sam da sobie radę. Mało wiele umiał po grenlandzku, tylko trochę po duńsku, wystarczyło jednak, żeby poprosić całe towarzystwo o pozowanie do fotografji, jednej razem, drugiej, trzeciej i setnej, każdego z osobna. Potem, jak żywe na czarnej kliszy wyskoczyły białe osoby, aby, następnie, na białym papierze zamienić się w czarcn. Poważne, przyjemnie uśmiechnięte, tylko jechać do Europy... Doskonale wyszły dzieciaki, te ubrane po dawnemu i te ubrane przez duńską szkołę, która zachowawszy rodzaj miejscowego stroju, piękniejszym go tylko uczyniła. Marji się zdawało, że to ona z przed kilku laty.

Zahypnotyzowane aparatem pozostały na miejscu i długo jeszcze tak stały, a w białem powietrzu zaginęło widmo statku jadącego dalej na północ.

Przedtem podróżni ugoszczeni byli europejską wódką i europejskiemi papierosami, bez których to przysmaków do niedawna spokojnie i zdrowo żyli tuziemcy. Zwiedzono też szpital, gdzie lekarz duński razem z eskimoską pielęgniarką chorych doglądają, obejrzano dobrze prowadzoną szkołę i jej muzeum, dziecinne prace, wyroby z kości i drzewa, laleczki i zabawki. Pastor z pomocą tłumacza Marji i cyfr napisanych na tablicy, dał do zrozumienia, iż o Grenlandji wydano już 76 wielkich tomów, a nie zostały jednak jeszcze wyczerpane wiadomości o naturze ludu tutejszego, piękności kraju, bogactwie ziemi.

— Każda liszka ogon swój chwali i dobrze, że tak jest, — szepnął marynarz do towarzysza. — Ja, coprawda, dotąd żadnych tu piękności nie widziałem. O bogactwach nie mówiąc...

— Szkoda, że nie mogę pokazać wam fabryczki... — ciągnął dalej pastor. — W dzień powszedni zycie tu wre wielkie, teraz wszystko oddycha niedzielnym wypoczynkiem... W fabryce fokę przerabia się na różne produkty, zdolne zasilić uniwersalny magazyn. Pomyśleć tylko! Z jej skóry robi się namiot, łódź, ubiór, mięso się je, tłuszczem oliwą świeci, jelita służą za szyby do okien, żyły — za [illegible]



...ubrane przez duńską szkołę

— Więc na północy foka gra tę samą rolę, co palma na południu! Dzięki niej można zjeść, ubrać się, w piecu napalić — śmiał się marynarz, ale dziewczyna żartów jego nie słuchała, pogrążona w nowych myślach. Nie, ma dość już karjery sportowej, piękną jest rzeczą czuwać nad okrętami, ale lepiej poświęcić się chorym rodakom, nieść im pomoc, jak ta pielęgniarka, która z doktorem duńskim pracuje nad uzdrowieniem mieszkańców Grenlandji.

Wielką połać białej ziemi minęli, zanim znów zawinęli do fjordu, tym razem zwabieni nie wieżyczką kościelną, ale niespodzianie ujrzanym karłowatym laskiem. Wśród brzóz i olch zaledwie kilka metrów wysokości mających, rozłożone były letnie osiedla Eskimosów, namioty z foczej skóry, okna-drzwi, jedyne do nich wejścia, osłonięte foczemi jelitami dla przepuszczenia światła. Wewnątrz, na niskim stołku siedziała kobieta, miała na sobie letni strój, spodnie z foczej skóry i perkalikowy kaftan. Wokoło zagrody krzątała się rodzina, ojciec naprawiał sieć, córka rozpalała ognisko ze suchych wrzosów, ułożonych na kamieniach.

Zaproszono podróżników na obiad, którego składową częścią, raczej główną, bo, nawet jedyną, były wielkie kawały ni to ryby, ni to mięsa — suszone sztokfisze.

Na deser mieli wyścigi w kajakach, długich, wąskich łódeczkach, w które człowiek chowa się po pas, wgłąb jej wsuwa nogi i w pozycji tej nieruchomo pozostaje, gdy tymczasem ręce tysiące, bardzo udatnych wykonywują ruchów. Drewniany szkielet łodzi obciągnięty jest foczą skórą, w czasie zimowych wypraw płaszcz żeglarza tworzy z nią jedną całość, tak, aby fala nie porwała, aby mróz mniej miał dostępu. Z taką szybkością, jak na wyścigi, leci kajak na polowanie na wieloryba.

Marja z trudem dała się namówić na popis, z którego wyszła zwycięsko.

Był to sierpień i jeszcze lato, w miarę jednak, jak posuwali się na północ, coraz późniejsza stawała się pora. Po 70° na dobre była już zima, z którą tu nigdy zresztą żartów niema, bo nie ze swej władzy ustąpić nie chce na rzecz wiosny, ani nawet jesieni. Temperatura spadała w termometrze z zawrotną chyżością.

Okręt zaczął wracać tam, skąd przyjechał.

Ostatnia była to noc na statku, biała noc. Jutro „Copenhague" wysadzi Marję na brzeg, pojedzie dalej w nieznany kraj, ona zaś wróci sankami — do domu.

Patrzyła na niebo.. Na zachodnim jego pasie położyła się wielka sztaba złota. Zawsze istnieć będzie, choć może w podziemiach banków nie będą już spoczywały pokłady tego najszlachetniejszego, a dziś tak mało użytecznego kruszcu. Albowiem nic nie jest w stanie otrzeć wszystkich ludzkich łez.

A czy jej ręce, coś dla dobra ludzi zdziałać potrafią? Są małe, są śniade, prawda, ale są [illegible]

Aura Wyleżyńska



ZOŚKA.

Więc wyglądało to tak: na środku izby stała zazwyczaj duża balja, a białe kłęby pary, unoszące się z niej, tworzyły fantastyczne figury, w których można było widzieć tysiące czarodziejskich historyj. Szczególniej wieczorem, przy świetle małej lampki naftowej i ognia z kuchenki, widziadła były zupełnie wyraźne i Zośka wgramoliwszy się na wielkie matczyne łóżko, lubiła opowiadać Frankowi i Ance, o tem, co widziała. Dzieciaki słuchały z zapartym oddechem i w izbie robiło się cicho, cichutko, że aż matka podnosiła strudzoną głowę z nad balji, pytając:

— Co to, głodneście, czy chore, że tak spokojnie siedzicie?

Dowiedziawszy się zaś, o przyczynie tego niezwykłego spokoju dochodziła do wniosku, że jest to cudowny środek pedagogiczny i zawsze, ilekroć miała pilną robotę, wizytę sąsiadki, lub coś równie ważnego, wołała:

— Zośka, opowiadaj im coś.

I Zośka opowiadała.

Nie, to nie były koniecznie bajki, ale takie sobie rozmówki, o różnych ważnych sprawach, które trzymały uwagę dzieci w ciągłem napięciu. Przytem, Zośka wpadła pewnego dnia na pomysł, aby robić różne wystrzyganki, wycinanki, ilustrujące mniej więcej to, co opowiadała. Nie były to coprawda rzeczy zbyt piękne, bo cóż można zrobić ze starego gazetowego papieru lub z grubego, szarego, w którym matka przynosiła jarzyny i kartofle! Ale mimo to było przyjemnie zrobić koszyk, w którym Czerwony Kapturek niósł podwieczorek dla babci, albo łódeczkę, na której dwaj nieposłuszni chłopcy pływali po rzece, wyobrażonej znowu przez długi, wąski pasek papieru.

Zośka miała już coprawda 8 lat, ale musiała w duchu przyznać, że razem z „małemi" bawiła się świetnie. Nawet wiosną, kiedy mała akacja, stojąca w kącie podwórka, pokryła się drobniutkiemi listeczkami, kiedy wszystkie dzieci z suteryn, z niskich oficyn, ze czwartaka wyległy, aby bawić się hałaśliwie, krzyczeć z radości, że już wiosna i szaleć, Zośka pozostała przy „małych". Żadna zabawa w klasy, w piłkę, czy w chowanego, nie była w stanie oderwać jej od naiwnych opowieści, od cacek z papieru i od wesołej piosenki — Lata ptaszek po ulicy.

Najciekawsze jednak nastąpiło wówczas, gdy Zośka zaczęła chodzić do „powszechniaka" i wracała codzień pełna radości z nowych prawd, jakie właśnie zdobyła. Ach, dziś naprzykład dowiedziała się, że Wisła bierze początek w górze, która tak śmiesznie się nazywa, Barania Góra, że jest Biała i Czarna Wisełka, i oto wszystko zaraz ilustruje papierkami: górę reprezentuje duży kamień, a Zośka podśpiewuje cieniutkim głosikiem:

— Z tamtej strony Wisły...

Przyleciały dzieciaki z całego podwórka, przysiadły na kamieniach, rozłożyły się na zakurzonej i niekoniecznie bujnej trawie i patrzą, i słuchają. Franek od rymarza przymrużył jedno oko po łobuzersku i ogląda Baranią Górę i Wisłę. Jest już w drugim oddziele, i takie rzeczy mu nie imponują.



...*czy można nudzić się z dziećmi? są zawsze takie ciekawe...*



— Najgorzej to to, — mówi Antek. — że jak Zośka wyrośnie, to już nie będzie chciała się z nami bawić. Będzie dorosła, będzie czytała książki, będzie...

— Ja już i tak czytam — zawołała Zośka, podnosząc do góry „Dziecinny Dwór", Zofji Rogoszówny, — ale myślę, że nawet, jak będę zupełnie dorosła, to zawsze się będę z wami bawić.

Rzeczywiście, lata szły, Zośka była coraz większa, coraz doroślejsza, a zawsze była jednakowo chętna do zabawy i do opieki nad młodszem rodzeństwem, a kiedy ją pytano, czy to nie wydaje się nudne, odpowiadała:

— Czy mogę nudzić się z dziećmi? Są zawsze takie ciekawe — i z temi słowami wracała do swojej gromadki, aby wymyśleć dla niej coraz to nowe rozrywki, zabawy i piosenki. Nietylko to: Zośka zaczęła po trochu wychowywać swoją gromadkę, doświadczenie nauczyło ją tysiąca rzeczy.

— Chcieć, to móc — mówiła, a matka z westchnieniem ulgi oddała pod jej wyłączną opiekę młodsze rodzeństwo, wiedząc, że doskonale da sobie z niemi radę.

— Szkoda, że jak dziewczyna dorośnie, pójdzie w świat, to już nie będziesz z niej miało takiej wyręki — mówił ojciec, ilekroć zgadało się o pożyteczności Zośki. — Niewiadomo, jaki fach sobie obierze, i gdzie pójdzie.

— Ja już wiem, tatku, jaki fach sobie obiorę — rzekła Zośka. — Nasza „pani" bardzo mi radziła, żebym została wychowawczynią, nie

trzeba na to więcej, niż 7 oddziałów szkoły powszechnej, uczy się tylko 3 lata, a potem można dostać posadę za całe 50 złotych miesięcznie.

— A wiesz ty dziewczyno, gdzie są takie szkoły?

— Wiem, mam cały ich spis, „pani" mi dała.

I Zośka wyrecytowała jednym tchem:

— Szkoła Wychowawczyń — Warszawa, ul. Czerniakowska 47;

Państwowe seminarjum ochroniarek — Warszawa, Nowowiejska 21, gdy się skończy tę szkołę to dostaje się czasem 120 zł. mies.

— Ale pewno trudno się tam dostać? i drogo kosztuje?

— Spróbujemy. A kosztuje 80 zł. rocznie, w szkole Wychowawczyń 20 zł. mies. nauka, 60 internat.

Spróbowała Zośka rzeczywiście, i to z dobrym skutkiem, bo zaraz po skończeniu 7-go oddziału, poddawszy się uciążliwym, ale jakże interesującym badaniom psychotechnicznym, została uczenicą Szkoły Wychowawczyń.

Jakże to wszystko było ciekawe! I wykłady na kursie freblowskim, i praktyka w żłobkach. Szczególniej ta praktyka! Gromada maleństw, z których każde potrzebowało jej, Zośki, pomocy, wyciągała do niej łapki, domagając się natychmiast, bez zwłoki, kaszki na mleku, otarcia noska, lub — czystej pieluszki.

Z czasem Zośka dostała pod opiekę i dzieci starsze, przy których przypomniała sobie żywo swoje dawne pedagogiczne starania w ojcowskiej izbie.

Tylko, że teraz palce jej nabrały zręczności, głowa rozumu i rozsądku, a cierpliwość stała się przepisowo „anielska", więc też po skończeniu zaproponowano jej odrazu kilka miejsc, z których wybrała opiekę nad 10-letnią Dzidzią, córeczką moich dobrych znajomych. Dlatego też mogłam dalej śledzić losy Zośki, przepraszam, panny Zosi, bo Zosia stała się już wytworną panienką, a skonstatowałam to, gdy spotkałam Zosię po dłuższem niewidzeniu, właśnie w domu moich znajomych.

Wybiegła do mnie uśmiechnięta, różowa w długim, białym fartuchu, informując uprzejmie, że pani domu wyszła, ale wróci zaraz, więc żebym poczekała.

Poczekam, odpowiedziałam chętnie, a tymczasem opowiedz mi coś o sobie. Jak ci się powodzi, naprzykład?

— Zupełnie dobrze, ale przepraszam, bo moja Dzidzia płacze, muszę ją natychmiast pocieszyć.

Za chwilę wróciła, prowadząc za rączkę pięcioletnie bobo, śliczne, zaróżowione i siadłszy na tapczanie, rozpoczęła konwersację.

— Przedewszystkiem muszę powiedzieć, że nie zarabiam 50 zł. tylko 30, bo nie jestem na cały dzień, tylko od 2-ej do 7-ej. Mówi się trudno, bo teraz kryzys, ale niektóre moje koleżanki urządziły się lepiej. Naprzykład jedna dostała się do przedszkola ,ma całodzienne utrzymania, aż 120 zł. i bardzo miłe stosunki. Inna znowu jest w prywatnym domu, ale na cały dzień, ma swój śliczny pokoik, 50 zł., także całodzienne utrzymanie, i miłego 3-letniego chłopczyka. No, ale ja się nie skarżę, lubię swoją Dzidzię, dbam o jej sukienki, o jej „papu", które sama przyrządzam według wszystkich mądrych i uczonych przepisów i bardzo się lubimy, prawda Dzidzik?

— Pławda, — przytaknęła poważnie malutka, — ale opowiedz mi tę bajkę o czelwonym kogutku.

— Był sobie czerwony, czerwony kogutek — zaczęła półgłosem Zosia, a ja słuchałam uważnie, myśląc, że ta ładna, zdrowa, uśmiechnięta dziewczynka, jest tu zupełnie na swojem miejscu.

Zofja Miszerowska.



GASTON CH. RICHARD

ŻAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy).

— Nie mów tak, babciu — rzekła Janka tuląc się do niej — Nie odbieraj mi odwagi. Muszę mieć siły, ażeby przenieść to rozstanie.

— Moja biedna ptaszyno! — odezwał się żałosny, starczy głos — uważaj na siebie... Wiesz, że nie mam na świecie nikogo, prócz ciebie... Nie, nie, Janeczko... nie myśl, że chcę cię tu zatrzymać, ale wraz z tobą odejdzie odemnie radość...

— Babciu, uspokój się i bądź cierpliwa — szepnęła Janka. — Posłuchaj mnie!

Zegar w stylu Ludwika XVI, stojący pod kloszem, wydzwonił dziewiątą.

— Zostaje nam jeszcze tylko kilka minut, bo zaklinam cię, babciu, nie odprowadzaj mnie na dworzec...

— Janeczko...

— Błagam cię, babciu... Patrzeć z okna wagonu, jak zostajesz sama, na peronie, byłoby to zbyt bolesne... Posłuchaj mnie i zapamiętaj dobrze, co ci powiem. Znasz mnie dość dobrze, ażeby wiedzieć, że umiem dotrzymywać słowa.

— Tak kochanie — rzekła biedna staruszka cichym głosem.

Janka podniosła prawą rękę, w sposób uroczysty.

— Przysięgam ci — rzekła — na pamięć naszych drogich zmarłych, na twoją głowę, na własną duszę, że zostanę tem czem jestem: godną ciebie, babciu. Godną nazwiska, które noszę. Przysięgam ci, że cokolwiek się stanie, będę postępowała w ten sposób, że nigdy nie będziesz miała potrzeby rumienić się za mnie.

— Wiem! Wierzę ci, moje kochanie — odpowiedziała pani de la Chantaignery. — Dopóki żyję, tutaj zawsze masz schronienie, w razie jakichś przeciwności losu. Później... Boże miłosierny! zachowaj ją, czuwaj nad nią, nad moją dzieweczką, taką mężną... A jednak to jest niesłuszne! Dlaczego teraz najbardziej wartościowe kobiety muszą rzucać się w wir walki? Dlaczego te, które mogłyby zostać najlepszemi żo[illegible] i matkami, muszą zrezygnować z tworze[illegible] ogniska domowego, ażeby zarobkować, pracow[illegible] tak jak mężczyźni? Nie, nie, to nie jest w porządku, [illegible] nie powinno...

— Niestety — rzekła Janka — nic na to nie poradzimy. Życie tego wymaga, babciu, nowo[illegible]...

— Naszym babkom było lepiej... Skoro już musiały oddawać swych synów Bogu, królowi lub Francji, zostawały im przynajmniej córki i wnuczęta. Wreszcie... idź już, moja droga, słodka, maleńka... Byłaś radością i dumą mej starości. Mam do ciebie zaufanie. Z całego serca, z całej duszy kocham cię i błogosławię.

Przytuliła do siebie Jankę i długo ją całowała.

Zapukano do drzwi. Janka pobiegła otworzyć.

Był to Lemonnier.

— Czas jechać, droga panno Janko — rzekł.

— Tak — szepnęła dziewczyna.

Wzięła róże i neseser i powiedziała:

— Do widzenia, babciu...

Otworzyła drzwi i prędko, zbiegła ze schodów, przeskakując po kilka stopni.

*

Pani de la Chantaignery została sama na środku pokoju, gdzie obie przeżyły tyle godzin, różnych — ciężkich i miłych.

Wybiło wpół do dziesiątej.

— Jeszcze sześć minut! — szepnęła biedna kobieta. — ...I opuści Nantes, może na zawsze...

Złożyła swe trzęsące się ręce i, przez te sześć minut, modliła się z całej duszy, mając wzrok utkwiony we wskazówki starego zegara.

Wielka wskazówka posuwała się bezlitośnie, minuta za minutą... Wskazywała już dziewiątą trzydzieści sześć...

— Odjechała! Ona, moja ptaszyna!.. — szepnęła staruszka, ledwie dosłyszalnie.

Cała drżąca, usiadła w fotelu i zakrywszy twarz, uwolniła swą duszę z gorzkiego ciężaru łez.

V. POZNANIE.

Była godzina czwarta nad ranem, kiedy Janka wysiadła na Quai d'Orsay.

W ciągu siedmiu godzin podróży, wyciągnięta na kanapce w przedziale drugiej klasy, gdzie na szczęście nie było prócz niej nikogo więcej, młoda dziewczyna ani na chwilę nie zasnęła, pomimo ogromnego zmęczenia.

Kazała się zaprowadzić do dużego hotelu, położonego obok dworca, gdzie Lemonnier zamówił dla niej pokój telefonicznie jeszcze poprzedniego dnia.

Będąc bardzo zmęczona, Janka nie odczuwała jednak potrzeby snu.

Gdy została sama, rozebrała się, umyła i narzuciwszy szlafroczek ,otworzyła okno. Wychodziło na Sekwanę, na ogród Tuilleries, na jeden z piękniejszych widoków miejskich, jakie są na świecie.

Była to pora świtu. Niebo od strony Notre-Dame zabarwiało się na kolor blado lila... Na pozostałej części nieba, o barwie błękitno - zielonej, która ku zachodowi przechodziła w ciemny szafir, błyszczały jeszcze ostatnie gwiazdy.

Janka oparła się ,o balustradę i wystawiła rozpalone czoło i zmęczone oczy pod świeży pieszczotliwy powiew odchodzącej nocy.

O tej wczesnej godzinie, wszystko jeszcze spało... Od czasu do czasu, przemknęło auto. Leciutki wietrzyk igrał wśród drzew nadbrzeża, pożółkłych już od przedwczesnych podmuchów jesieni. Nad rzeką, w której przeglądały się płomienie latarń i łuna, która wstawała nad mostami, unosiła się lekka mgła.

Zwolna wstawał dzień, odsłaniając sylwetkę Pawilonu Flory, architekturę Luwru.

Janka, nieczuła na poranny chłód, obserwowała narodziny dnia. Zdawało jej się, że widzi rodzącą się własną jutrzenkę na jeszcze ciemnem niebie swego losu. Ogromna gwiazda, o zielonych brylantowych ogniach, ciągle świeciła na czele uciekającej nocy.

Serce Janki przepełniała zbyt silna i czysta wiara, ażeby dziewczyna mogła być przesadna. A jednak, pogodna jasność tego ślicznego paryskiego poranku, zdawała się być dobrą wróżbą. Fala radości, wypływająca z najtajniejszych głębin jej duszy, owładnęła nagle Janką, z jakąś nieodpartą siłą. Serce zabiło jej żywiej, oczy zamknęły się. Łapczywie wdychała trochę ostre jesienne powietrze i jej pierś zdawała się napełniać żarem życia.

Przeznaczenie, jeszcze tajemnicze, szło ku niej, podobne do tego nieba, które na prawo od niej zapalało się ogniem jutrzenki a na lewo — pozostawało jeszcze ciemne, zamknięte, upstrzone dalekiemi ognikami, zasnute nocnemi mgłami. Doznała nieodpartego uczucia, że jej życie, jej prawdziwe życie, zaczyna się dopiero teraz, że minione dni były jakgdyby tylko zjawami przeszłości, szaremi i białemi, które wracają do nicości i że przyszłość jej zarysowuje się w apoteozie światła.

Przypomniała sobie nagle wiersz Alberta Samain:

„Nagle uderza w nią promień słońca lub
sławy
I zapala w niej wszystkie rubiny pychy..."

Ta pycha nie była w duszy Janki pierwszym z siedmiu grzechów głównych, potępionych przez kościół. Było to raczej uczucie, złożone z wiary w siebie, z nadziei, z energji twórczej, było to przyjęcie walki z utajoną wiarą w zwycięstwo.

*

Po trzech godzinach spokojnego i naprawdę krzepiącego snu, Janka obudziła się.

Jasne słońce zalewało pokój, a przez niedomknięte okno dochodziła symfonja odgłosów Paryża. W ten pogodny wrześniowy dzień, wielkie miasto, w pełni pracy, brzęczało jak olbrzymi ul.

— O, Boże, która to godzina? — pomyślała Janka.

Spojrzała na zegarek. Była zaledwie ósma, a Klemens Durand Gardel naznaczył jej spotkanie na dziesiątą trzydzieści.

Odetchnęła z ulgą i wyskoczywszy z łóżka, zadzwoniła na pokojową.

Zjadła śniadanie, zgodnie ze swym zwyczajem poświęciła kwadrans na ćwiczenie gimnastyczne, wzięła kąpiel i, po uregulowaniu rachunku i zostawieniu bagażu w przechowalni na dworcu, udała się pieszo do mieszkania wielkiego konstruktora samolotów, który wraz z rodziną zajmował oddzielną willę przy bulwarze Lannes, tuż obok Lasku Bulońskiego.

Pomimo to, że Janka nie była w Paryżu od czasów swego wczesnego dzieciństwa, nie czuła się tu jednak obco. Przez plac de la Concorde doszła do placu Alme, skierowała się przez Aleję Prezydenta Wilsona i Henri Martin'a, aż znalazła się w samym Lasku.

Ażeby jej lżej było iść, zdjęła płaszcz i swym elastycznym, prędkim krokiem, udała się w dalszą drogę.

Tajemna radość napełniała jej oczy blaskiem, i przechodnie, zarówno kobiety jak mężczyźni, oglądali się, ażeby przyjrzeć się lepiej tej wysokiej i pięknej dziewczynie o wyglądzie sportsmenki, tak wytwornej w swej prostocie i tak mało próżnej, że nie spostrzegała nawet składanych jej w milczeniu hołdów.

O dziesiątej trzydzieści Janka zadzwoniła do pałacyku Durand Gardel'ów, a w pięć minut później została wprowadzona do gabinetu konstruktora.

Siedział przy biurku, przeglądając z właściwą sobie dokładnością, papiery, listy i pisma.

Kiedy Janka weszła, wstał i wyciągnął do niej rękę.

— Dzieńdobry, moje dziecko — rzekł z prostotą. — Jest pani punktualna. To mi się podoba! Sam jestem taki i nie lubię czekać. Kiedy pani przyjechała?

— Dzisiaj rano, o czwartej — odpowiedziała Janka. — Spałam do ósmej w hotelu d'Orsay... I przyszłam tu pieszo, ażeby odnowić znajomość z Paryżem.

Wyrażała się z łatwością, bez najmniejszego akcentu.

Klemens Durand - Gardel patrzał jej prosto w twarz przez dobrą chwilę, ona zaś bez zuchwałości i bez słabości, wytrzymała ten badawczy wzrok.

(D. c. n.)



KĄCIK HARCERSKI

Gdy dłoń Hitlera wyciąga się ku odwiecznym ziemiom polskim, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że mnóstwo rodaków pozostało po tamtej stronie. Odmówił im los tego szczęścia, jakiegomy zażywamy, mogąc decydować we własnym państwie o własnych losach. Bądźmy skromni i nie odpowiadajmy tupetem na tupet niemiecki, a bierzmy się do czynu, brzemiennego w owoce. Pamiętajmy, że po tamtej stronie kobieta polska ma możność pielęgnowania polszczyzny tylko przy ognisku domowem.

Są rodziny, gdzie tylko „Ojcze nasz" i „Zdrowaś" umieją po polsku, a znaczenie pacierza matka tłomaczy po niemiecku, bo brak jej słów w języku polskim, ale świadomość istnieje, że są polakami.

Są rodziny kaszubskie, mazurskie, które wiedzą, że Kaszub, lub Mazur to nie Niemiec, ale nie uświadamiają sobie, że należą do wielkiej rodziny polskiej. Do tych należy iść i budzić.

Musimy iść do nich z gorącem sercem i umiłowaniem, do tej naszej braci cierpiącej, jak to zrobiła harcerka, Pola Maciejowska, zamordowana przez Niemców w więzieniu.

Chorągiew Mazowiecka. Odprawa hufcowych odbyła się dn. 14 stycznia b. r. Na odprawie drh. Ukiejska miała referat p. t.: „Metody pracy harcerskiej". Pozatem zastanawiano się nad pracą w hufcu. Między wieloma postanowieniami uznano, że następna odprawa powinna mieć charakter kilkodniowego kursu. Prawdopodobnie odbędzie się odprawa na Buczu.

Chorągiew Wileńska. W Pilakolni pod Wołokurpją o 7 klm. od Wilna, nad Wilją na polanie (zwanej Dolną Polaną) odbył się Zlot Chorągwi Wileńskiej w dniu 23 VI. 1932 r. Wrażenia pozostaną niezapomniane: namioty, las, 432 harcerki, zbiórki, odprawy, śpiewy, gwar, ruch, a nad tem radośnie łopocząca flaga państwowa, symbol, duma i nadzieja. Zlot rozpoczęto Mszą świętą w kapliczce na terenie Zlotu męskiego. Tak uroczyście harcerstwo obchodziło dwudziestolecie swojej pracy na Wileńszczyźnie. Moc gości, zwiedzających obóz harcerski nadawało wygląd uroczysty i odświętny. Wieczorem zapłonęły ogniska, przy których skupiły się harcerki w zwarte siostrzane kręgi. I popłynęła gawęda o przeszłości i przyszłości że Polska musi być państwem o sile mocarstwowej.

Wśród wielu zawodów i konkursów odbył się konkurs śpiewu. Pierwsze miejsce w śpiewie zajęła 1-sza Drużyna Wileńska w obozownictwie 6 Wileńska.

Chorągiew Warszawska. Zebrało się przeszło 50 przedstawicielek drużyn chorągwi. Gorąco omawiano pracę drużyn i zastanawiano się nad pracą społeczną.

Z ZAGRANICY

Czechosłowacja. Odbył się kurs zastępowych przy dużej ilości uczestniczek.

Na kursie zaspokojono wszystkie życzenia biorących udział w kursie. W Czechosłowacji szykują się w tym roku do obchodu swego 20-lecia w harcerstwie.

Austrja. Kolonja polska w Austrji rozpoczęła starania w Z. H. P. o pomoc przy organizowaniu drużyn harcerskich. Piękne zamiary.

SKRZYNKA POCZTOWA.

Pismo nasze umieściwszy „Kącik Harcerski" na łamach naszych ma zamiar nawiązać ścisły kontakt nietylko z harcerstwem, ale pragnie pozostałej młodzieży pokazać, czem jest harcerstwo, do czego dąży. Pragnie prostować błędne pojęcia, krzewić ideologję harcerską. Jednem słowem chcemy współpracować ze Związkiem Harcerstwa Polskiego. Dla tych celów otwieramy naszą skrzynkę pocztową. Prosimy o listy, zapytania. Chętnie odpowiadać będziemy.

jedziemy w świat

Właśnie zabierałyśmy się do drugiego śniadania podczas dużej pauzy, gdy przełożona weszła do klasy.

Nic nie zapowiadało cudownej nowiny, jaką nam przynosiła. Dzień był zwykły, szary, roboczy, za oknem padał mokry, brudny śnieg, przełożona miała codzienną bronzową suknię i obojętną minę. Spodziewałyśmy się czegoś w rodzaju:

— Dziewczynki, pani wychowawczyni skarży mi się, że niektóre z was nie zmieniają pantofli po przyjściu do szkoły...



Tymczasem...

Tymczasem przełożona swoim miłym, równym głosem oznajmia nam:

— Chciałam wam, dziewczynki, zakomunikować, że organizuje się wycieczka młodzieży klasy 7-ej i 8-ej szkół państwowych. Wycieczka ta uda się podczas feryj wielkanocnych przez Rumunję do Bułgarji, oraz do Konstantynopola. Te z was, które... — i t. d.

Tu następował szereg szczegółów technicznych, dotyczących kosztów, ekwipunku i t. p.

W pierwszej chwili przyjęłyśmy tę wiadomość wprost niedowierzająco. „Zbyt piękne, aby było prawdziwe..." — Ale przełożona mówiła tak rzeczowo ,tak obojętnie, że powoli uwierzyłyśmy w realność tej nowiny. To mogło się naprawdę stać. A ponieważ koszta były bardzo małe więc...

Więc oczywiście lekcje, które nastąpiły po dużej pauzie, odbyły się bez naszego współudziału. Mówię, oczywiście, o udziale „duchowym", gdyż biedne ciała pensjonarskie zmuszone były tkwić w ławkach na swych stałych miejscach. Ale zato, co za ożywione stosunki „międzyławkowe"! Poprostu migały w powietrzu listy, nie zawsze zręcznie przerzucane, słowa, początkowo dyskretnie zamieniane (matematyka), wkońcu (łacina!!) zamieniły się we wcale ożywioną rozmowę towarzyską, która jeśli przygasała w jednym rogu klasy, w innym wybuchała natychmiast ze zdwojoną siłą.

— Czy ty pojedziesz, a czy tobie pozwolą rodzice, jak sobie „to" wyobrażasz, a jak to będzie długo, a czy „chłopcy" też pojadą, a czy mnie dadzą pieniądze — i t. d., i t. d.

Chyba nigdy nie wrzeszczałyśmy tak w szatni — jedna drugą chciała przekrzyczeć; plany, przewidywania, marzenia, żale, radość — wszystko mieściło się w tej wrzawie.

Zaraz po obiedzie przyleciała do mnie Zośka, wprost pomidorowa ze wzruszenia.

— Słuchaj, pozwolili mi — krzyczała już w drzwiach.

Okazało się, że i mnie „pozwolili" (w tej bezosobowej formie mieściła się oczywiście „władza rodzicielska"). Nie spodziewałyśmy się nawet, aby to poszło tak łatwo — tymczasem nasza miła „władza najwyższa" oceniła odrazu wartość wrażeń, jakie nas czekały przy minimalnym stosunkowo koszcie.

Od tej chwili jedno tylko słowo — „wycieczka" — miałyśmy na ustach. Zaczęły się przygotowywania różnego gatunku. A więc przedewszystkiem — próby. Ale tu należy wyjaśnić — wątpliwość nasza została już rozwiana — „chłopcy" też jechali. To jedno. A następnie — mieliśmy podczas wycieczki dawać we wszystkich miastach przedstawienia — jakieś kolorowe krakowskie wesele, trzaskający mazur, błyszczący krakowiak. Stąd próby. Były już one same w sobie dużą przyjemnością, a cóż dopiero jako przygotowanie do wycieczki!

Przed samym wyjazdem — ostatnie pociągnięcie —zakupy według spisu rzeczy: „...widelec, łyżka, nóż, dwa prześcieradła, paczka herbaty... i t. d., i t. d." Wkońcu pakowanie — „uniform" — granatowa spódniczka, białe bluzki — przepisowa walizka (ileś tam centymetrów) — pełna.

I moment tak podniecający, że wprost myśl o nim tamowała oddech — wyjazd.



...wciąż nowe, nieoczekiwanie piękne miejsca, nowi, różni ludzie...

Zaczęła się — jakżeż mogę znaleźć inne słowo? — bajka. Niczem innem, jak tylko bajką była ta — nazwana przez nas trochę po pensjonarsku i trochę sentymentalnie — „wiosna, która nigdy nie wróci".

Bajka zaczęła się od przekroczenia granicy polskiej. Żegnał nas ciemny, zimowy, tonący w deszczu, zmieszanym ze śniegiem — Lwów. A nazajutrz rano obudziliśmy się w samym środku wiosny. Małe miasteczko rumuńskie kąpało się w słońcu, było gorąco (już żałowałyśmy, że nie mamy letnich sukienek), biało i różowo kwitły bezlistne drzewka. Tak, od Buzau zaczęła się nasza „bajka". Czegóż w niej nie było?!



Wdychaliśmy czyste, pachnące powietrze gór bałkańskich, czarne paszcze tunelów połykały nas i wypluwały z głuchym hukiem, kołysała nas na swoich falach zielona woda morza, wdrapywaliśmy się na śnieżny szczyt Witosza, odpoczywaliśmy w cieniu pinij i cyprysów na brzegu Azji Mniejszej, ogarniały nas swym chłodem kopulaste meczety, prażyło słońce i chrzęszczący nadmorski piasek, jedliśmy pomarańcze tak wielkie, że nie mieściły się w obu dłoniach i szaszłyki baranie tak pieprzne, że aż łzy w oczach stawały i chałwę, prawdziwą, turecką chałwę.



Z tą chałwą to była zresztą brzydka historja. Obiecałyśmy naszym koleżankom, które pozostały w Warszawie, że przywieziemy im „próbkę" owego smakołyku wprost z jego rodzinnych stron. Pomne przyrzeczenia, zaopatrzyłyśmy się w Konstantynopolu w spory zapas różnych wschodnich słodyczy, chałwy w pierwszym rzędzie. Narazie wszystko było w porządku. Ale cóż! — Jechaliśmy z powrotem, nie zatrzymując się nigdzie, droga z Konstantynopola do Warszawy daleka i długa, zapasy słodyczy warszawskich wyczerpały się doszczętnie, a chałwa, słodka, nieporównana chałwa była blisko, tuż pod ręką.

Co tu dużo mówić — poprostu do Warszawy przyjechałyśmy z pustem pudełkiem, z całego zapasu nic nie zostało nic. To było jednak zbyt kompromitujące, coś należało zaradzić. Rada się znalazła. Do szkoły przyniosłyśmy pudełko (na szczęście nie wyrzucone!) z autentycznym, tureckim napisem, pełne znakomitej chałwy. Koleżanki były zachwycone — „takiej" chałwy jeszcze nie jadły.

— „Wiecie, co za różnica!", „zaraz poznać, że to prawdziwa turecka".

Nasza wtajemniczona szóstka „wycieczkowi-

czek" zamieniła porozumiewawcze spojrzenia — Koleżanki miały świętą rację, chalwa była „prawdziwa turecka" — przecież solennie nas o tem zapewnił właściciel sklepiku na Marszałkowskiej, gdzie napełniłyśmy nasze „wyjedzone" pudełko...

Trzeba jednak przyznać, że to była jedyna nieuczciwość, jakiej dopuściłyśmy się w związku z naszą wycieczką.

Bo naprzykład, gdy opowiadałyśmy z nonszalancją, że „znamy się z królem" — było to najzupełniej uczciwe i nie mijało się z prawdą.

— Jaki król znowu — zapytają zdziwione czytelniczki.

Otóż mowa o prawdziwym, najprawdziwszym królu, młodym i przystojnym bułgarskim królu Borysie (który wtedy był jeszcze „kawalerem do wzięcia"). Jak widzicie, nawet króla nie zabrakło w naszej „bajce".

Niejedna z nas jechała na wycieczkę z ukrytą nadzieją, że może los wybierze ją na bohaterkę jakiejś romantycznej historji. Tyle nadarzało się sposobności! Powiedzmy — jakieś tajemnicze porwanie wśród ciemnych, stromych uliczek Konstantynopola. Albo jakaś niesamowita przygoda na morzu. Oczywiście nie zabrakło i marzeń, również fanstastycznych na temat króla. Mój Boże, czyż mało widziałyśmy różnych filmów. A więc według kinowej recepty — niespodziewane spotkanie. — król. — ona. Kopciuszek — rozmaite trudności (między innemi — czy wrócić do Warszawy na maturę, czy też z niej zrezygnować. Ostatecznie królowa może się obejść bez matury), wkońcu, oczywiście — happy end — korona, tron i t. d. To też gdyśmy oglądały letni pałac królewski w Euksinogradzie — niejedna z nas oceniała go krytycznem okiem przyszłej „władczyni".

Można sobie wyobrazić, jak bardzo pragnęłyśmy ujrzeć gdzieś („chociaż zdaleka"... dodawały mniej wymagające koleżanki) — króla Borysa.

Spotkanie nastąpiło według wszelkich wymagań filmu — nieoczekiwanie.

Uprzejme władze bułgarskie przydzieliły na jakiś czas lokomotywę do naszych trzech wagonów wycieczkowych i „własnym pociągiem" odbywaliśmy małe wycieczki, urządzając sobie w dowolnych miejscach dłuższe postoje. Właśnie zatrzymaliśmy się na parę godzin na jakiejś małej, zagubionej w górach stacyjce. Był cudowny dzień, niebieski, ciepły i pachnący. Rozłożyliśmy się w lesie, tuż przy stacji i cieszyliśmy się wiosną. W pewnej chwili nadjechał pociąg i zatrzymał się naprzeciwko naszego. Nie był to właściwie pociąg, a jeden wagon z lokomotywą. Wagon wydał nam się trochę dziwny — jakiś większy, niż zwykle, inny, jakiś uroczysty. Zbliżyliśmy się zaciekawieni. Ujrzeliśmy jak drzwiczki się otwierają, najpierw wyskoczyło dwuch ludzi, przystawili do drzwi wagonu schodki, po których zszedł wysoki i smukły pan, w pięknem podróżnem ubraniu. Coś znajo-



...ogarniały nas swym chłodem meczety...



...wśród uliczek Konstantynopola...

mego uderzyło nas w jego twarzy. — I nagle olśnienie — no, oczywiście, że „coś znajomego" — choćby ze znaczków pocztowych.

Był to król Borys, który ujrzawszy udekorowane narodowemi chorągiewkami wagony z napisem „Excursion polonaise", zatrzymał się, aby się z wycieczką przywitać. Otoczyła go zaraz nasza „starszyzna" i kto śmielszy z młodzieży (oczywiście Zośkę ujrzałam tuż przy królu). Król niezwykle miło dopytywał się o wrażenia z wycieczki, cieszył się ze zbliżenia polskiej i bułgarskiej młodzieży, rozmawiał przez dłuższą chwilę i wreszcie, pożegnawszy się z wszystkiemi, którzy stali blisko, odjechał, żegnany przez nas hymnem „Szumi Marica"....

Maryla, stojąc na stopniach wagonu zdążyła jeszcze zrobić zdjęcie ze swego Kodaka, ale ręka drżała jej ze wzruszenia i król na fotografji wyszedł z dwoma głowami. „Nigdy za dużo" — pocieszały ją potem koleżanki.

Po odjeździe króla, wszyscy, a szczególnie żeńską część wycieczki (mimo, że nasze matrymonjalne marzenia narazie spełzły na niczem) byliśmy niezwykle przejęci dopiero co przeżytym wypadkiem. W naszym kobiecym wagonie wrzało. Nagle wbiegła Irena z tak przejętą miną, żeśmy zamilkły — coś się musiało stać!

— Zośka idzie — oznajmiła nam zdyszanym ze wzruszenia głosem. Fakt, że „Zośka idzie", nie wydał nam się tak doniosłym, aby upoważniał Irkę do równie uroczystego oznajmienia. Rzuciłyśmy więc pod jej adresem parę dosadnych epitetów. Ale Irena, jakby nie słysząc, dodała:

— Niesie rękę...

Teraz zamieniłyśmy porozumiewawcze i współczujące spojrzenia, ale Ola odezwała się półgłosem:

— A od rana ją ostrzegałam, żeby nie siedziała na słońcu z odkrytą głową.

Irena rzuciła wściekłe spojrzenie i coś chciała odpowiedzieć, ale na szczęście w tym momencie weszła Zośka. Minę miała uroczystą i rzeczywiście (widocznie jednak skrzywdzonej przez nas Irenie słońce na mózg nie zaszkodziło) — niosła rękę, a właściwie podtrzymywała prawą ręką — lewą. Gdy zbliżyłyśmy się do niej, rzuciła tylko jedno słowo:

— Patrzcie.

Nawet bez jej gadania nie robiłyśmy nic innego. Ale cóż — nie ujrzałyśmy nic ciekawego. Miałyśmy przed oczami znajomą rękę Zośki, z zabawnemi, krótkiemi paluszkami, rękę, nie grzeszącą w tym momencie zbytnią czystością. Urszula zdecydowała pierwsza:

— Nic, łapa.

— Brudna, — dodała Jaśka.

— Poprostu brudna łapa Zośki — zdefinjowała ostatecznie Giga.

Zośka, czerwona ze złości „puściła" rękę i obrzuciwszy nas spojrzeniem, które miało oznaczać „zimną pogardę", zbliżyła się do swojej ławki. Nie wytrzymała jednak i powiedziała, siląc się na obojętność:

— Właśnie tę „brudną łapę" (podkreśliła drwiąco) — przed chwilą uścisnął król.

Tak, to był cios dla nas. Ona jedna dostąpiła tego zaszczytu. Ale jak tu się przyznać do zazdrości? Więc biedna Zośka nie usłyszała spodziewanych powinszowań, tylko lekkie uwagi — „wielkie rzeczy!" „masz się czem chwalić" — i złośliwe życzenie — „zasusz sobie tę rękę", „opraw ją w ramki".

Nie wiem, jak daleko wzięła sobie te rady do serca, w każdym razie złośliwe przyjaciółki twierdziły, że starała się utrzymać ową słynną rękę przez możliwie długi czas jaknajdalej od wody.

Ileż różnych wrażeń dostarczyła nam nasza wycieczka!

Przeżywaliśmy chwile komiczne i chwile podniosłe, nie brakło momentów sentymentalnych, a nawet dramatycznych.

Niczego nam nie brakowało do cudownej harmonji, żyliśmy pełnią życia.

Wciąż niebywałe bogactwo przeżyć, wciąż nowe, nieoczekiwanie piękne miejsca, nowi, różni, a zawsze jednakowo mili i wprost niezwykle gościnni ludzie. Nie tylko, że przyjmowano nas wszędzie z naprawdę „otwartem sercem", ale jeszcze obsypywano prezentami. Nasi bułgarscy koledzy ofiarowali nam różne piękne ludowe wyroby, przedmioty z drzewa, chusteczki haftowane, najróżniejsze drobiazgi. Prawdziwie wzruszył mnie jeden z chłopców, którzy dotrzymywali nam towarzystwa przy zwiedzaniu Sofji, miły Slancjko Kossatcheff. Gdy wyjeżdżaliśmy, przybiegł w ostatniej chwili na stację i wsunął mi do ręki spory pakunek. Otworzyłam go w drodze i z zachwytem. Ujrzałam prześliczne, kolorowe hafty bułgarskie na płótnie. Było tego parę metrów.

Gościnność Bułgarów w stosunku do nas nie miała granic.

I jakże nie mieliśmy być wzruszeni i zachwyceni i mimo zmęczenia nadewszystko i ciągle szczęśliwi i pełni ardości.

Nikt nie myślał o maturze, która była za pasem. Przez trzy tygodnie żyliśmy jak we śnie, rzeczywistość stała się nierzeczywista, przez trzy tygodnie zapomnieliśmy o codziennem, zwykłem, prawdziwem życiu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że bajka się skończy i że nigdy się nie powtórzy. Nie można dwa razy zgromadzić wszystkich momentów, które się na nią złożyły — młodość, beztroska, koleżeństwo, wesołość, wiosna, egzotyzm. A może i to, że była to nasza pierwsza podróż „w świat".

I choć nastąpiły po niej inne podróże, może ciekawsze, może pożyteczniejsze, — żadna już nie była do tamtej podobna.

St. Szurlejówna.



...u studni przy bramie galackiej w Konstantynopolu...

MODY







1. Sukienka wełniana lub welwetowa z białym kołnierzykiem, paskiem i guzikami.

2. Strójna bluzeczka z lekkiego materjału, w spódniczkę.

3. Sukienka wizytowa kombinowana z odmienną bluzeczką (może być przeróbka).

4. Sukienka ze sztucznego jedwabiu lub lekkiej wełny.

5. B. skromna suknia wizytowa z ciemnej wełny. Kołnierz i mankiety z białego płótna lub piki.

Na spotkanie skrzydlatej flotylli

Wśród ptactwa posiadamy prawdziwe zastępy pierzastej policji sanitarnej, która ochrania nasze sady i lasy od powodzi szkodliwych [illegible]

Obliczono, że sikorka dziennie zjada larw, gąsienic, owadów w ilości podwójnej do swojej wagi.

W zimie, gdy wszelkie szpary w korze drzew okryje śnieg i lód zaciągnie, pożyteczne ptactwo ginie masowo z głodu.

Liczne gatunki ptaków naszych spędzają zimę w krajach więcej południowych. Do tych należą: szpak, kukułka, bocian, jaskółka, gęś, żóraw, skowronek, słonka i inne.

Z końcem zimy rozpoczyna się lot powrotny do Polski.

W tych dniach pojawiały się w okolicach Krakowa pierwsze skowronki. Ptaki te w zwartych gromadach już obsiadły pola i mokradła.

W końcu lutego ma miejsce przylot szpaków, które już w pierwszych dniach marca zakładają swe gniazda.

Niebawem inne gatunki ptaków rozpoczną swój lot powrotny do ojczyzny.

Jest więc na czasie pokrótce się zaznajomić z tem ciekawem zjawiskiem, jakie stanowi wędrówka ptaków.

DROGI LOTU PTAKÓW WĘDROWNYCH.

Są trzy główne kierunki wędrowne ptaków zachodnio-europejskich, w tem i polskich.

Zachodni szlak posuwa się wzdłuż linji mórz (Atlantyk, Gibraltar, Morze Północne, Bałtyk).

Środkowo europejski szlak kieruje się na *Adrjatyk i Tunis*.

Nakoniec szlak wschodni idzie wzdłuż wschodniego wybrzeża Afryki, następnie biegiem Nilu, przez Sues, Bałkany i na Polskę.

Długość szlaku dla różnych ptaków jest niejednakowa.

Skowronek nasz znajduje zimowisko na północnem wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Inne gatunki docierają do Afryki Tropikalnej.

Najdalej dolatują nasze bociany i kukułki, bo aż do południowej Afryki (Kapsztadt).

JAK WYGLĄDA CIĄG PTAKÓW.

Ptaki nasze wędrują samotnie (kukułka), lub też gromadnie (bociany).

Jaskółki tworzą całe chmury do 1000 metrów szerokie i kilkaset metrów długie.

Ptactwo wędruje przeważnie bez porządku. Są jednak gatunki (gęsi, żórawie), które lecą w doskonałym szyku, w dwu rozchodzących się szeregach pod kątem ostrym z jednym ptakiem przewodnikiem na czele.

PRZESZKODY, KTÓRYCH PTAKI UNIKAJĄ STARANNIE.

Wędrowne ptaki unikają przelotu nad oceanami. Wyjątek odwagi ptasiej stanowi mewa, która szuka zimowiska po tamtej stronie Atlantyku.

Również ptaki starannie unikają grzbietów górskich, z nielicznemi wyjątkami (nasz sokół, orzeł górski).

WYSOKOŚĆ I SZYBKOŚĆ LOTU.

Ptaki najczęściej trzymają się wysokości poniżej 400 m. nad ziemią; rzadko podnoszą się wyżej ponad 2.000 m. (żórawie, jaskółki, sokół).

Znaczne wysokości ptactwu szkodzą. Naprzykład wróbel na wysokości 5.000 m. dostaje wymiotów. Sokół dostaje wielkiego osłabienia na 9.000 m.



Nasze bociany w Afryce.



Drogi lotow ptaków wędrownych.

Wogóle przelot ptasi nie jest szybki. Naprzykład wrona robi na godzinę 50 klm.; szpak 74 klm.; nasz bocian lecąc z południa do Polski robi na dobę 250 klm.

REKORDZIŚCI RODU PTASIEGO.

Widzieliśmy, że rekordy ptasie bywają różne, na szybkość (szpak) na wyczyn morski (mewa), na wysokość (sokół). Natomiast na długość lotu rywalizują między sobą nasz bocian i kukułka, ponieważ zimowiska ich są w Kapsztadzie (Afryka południowa). Droga ta jest uciążliwa i długa: wynosi ona 10.000 klm. i trwa $2^1/_2$ — 3 miesięcy.

PRZYWIĄZANIE BOCIANA DO POLSKI.

Bocian nasz lubi tę swoją ojczyznę polską, bo nigdy nie robi wylęgów w Afryce, a wielokrotnie w życiu swojem powraca do Polski, by tutaj właśnie wychowu młodzieży dokonać. Niektóre bociany powracały do Polski za życia po 11 razy.

Stwierdzono, że bocian polski trzyma się ściśle wschodniego szlaku, natomiast bocian zachodnio-europejski leci szlakiem Atlantyckim (zachodnim), by dotrzeć do tego samego zimowiska Kapsztadskiego.

JAK DŁUGO POZOSTAJE PTACTWO WĘDROWNE W SWEJ OJCZYŹNIE.

Każdy gatunek ptasi robi to inaczej.

Szpaki odlatują ledwie posiadłszy sztukę latania ;kosy młode również oddają się wędrówce, wówczas, gdy stare ptaki pozostają u nas przez cały rok (a więc i zimę).

Kukułka odlatuje na początku sierpnia, natomiast bocian nasz porzuca ojczyznę dopiero w końcu sierpnia. *Prof. Mieczysław Ptaszycki.*

ROBOTY RĘCZNE

Pleciony **szalik.**

Na szalik taki wychodzi włóczki dość dużo, nie byłby on więc tani, gdyby nie to, że przy jego robocie dadzą się zużytkować resztki, pozostałe od robionych na drutach pulloverów, szali i czapek. Ponieważ prawie niema obecnie domu, gdzieby nie było osoby, robiącej na drutach, można będzie zebrać wśród rodziny resztki, a zorganizowawszy jeszcze wśród koleżanek w klasie wymianę części włóczki, którą posiadamy w większej ilości na inną, napewno potrzebny materiał zdobędziemy. W ostateczności może trzeba będzie jeden kłębek włóczki dokupić, a to jeszcze nie jest tak drogo. Technika wykonania szalika polegać będzie na splataniu pasemek włóczki tak, jak się plecie warkocz, tylko nie z trzech ani czterech pasemek, jak to każdy umie wykonać niemal z zamkniętemi oczami, a z 16—18, co wymaga większej uwagi. Jeżeli ktoś jest zręczny do robót, tak że wszystkie wychodzą mu równo i czysto, może poprostu początki pasemek, związanych po dwa ze sobą (tak, aby zostały końce na frendzle), umocować do patyczka, lub poziomej krawędzi jakiegoś mebla i splatać szalik, uważając, aby nie ściągać plecionki. Robiłam szaliki tym sposobem i wychodziły mi zupełnie dobrze. Kto nie umie pleść luźno i bez ściągania, niech użyje jako warsztat deskę do prasowania obciągniętą suknem. Końce przywiążemy do patyczka, który przymocujemy sznurkiem czy gwoździkami do deski, a plotąc co drugi rząd będziemy przypinali plecionkę szpilkami do sukien, sprawdzając szerokość odmierzoną na pasku tektury, miarką.

Szalik taki jest efektowny, jeżeli składa się z grubych pasemek włóczki (po 10—14 nitek) przy gatunku używanym na sportowe pullowery. Długość będzie zależna od tego, jaki chcemy szalik. Ponieważ wzorem, jaki z plecenia wyniknie, będzie szkocka krata, tylko kwadraty będą szły nie równolegle do brzegów szalika, lecz ukośnie, trzeba przedewszystkiem obliczać długość tak, aby szerokość mieściła się w tej długości pełną ilość razy (6, 7, 8), a nie 6½ czy 7½, gdyż tylko wtedy wzór będzie jednakowy, na obu końcach. Jeżeli ustalimy szerokość szalika, rysujemy na jakimkolwiek papierze (bodaj kolorowym ołówkiem na gazecie) kwadrat o boku równym tej szerokości. W ten kwadrat wpisujemy drugi kwadrat tak, aby jego rogi opierały się o środki boków pierwszego. Obmierzamy centymetrem dwa boki tego wpisanego kwadratu i mnożymy otrzymaną ilość centymetrów przez tyle, ile razy szerokość szalika ma się zmieścić w długości — np. 8. Dodajmy do otrzymanej liczby jeszcze dwie długości odmierzone (na końce z obu stron) i dwie na przeplatanie, gdyż pasemko nie będzie szło w jednej płaszczyźnie jak linja na rysunku, ale będzie wskutek przeplatania odbywało jeszcze drogę zgóry nadół, w stosunku do powierzchni szalika. Dwie długości początkowe wystarczą na to przy 16 cm. szerokości szalika, przy szerszym trzeba liczyć więcej.

W układzie kraty musimy zdecydować jeden kolor, jako tło, będzie go więcej. Przy 16—18 pasemkach będzie go 10, przy 14—8, przy 20 — 12. Teraz przystępujemy już do układania wzoru. Krata będzie się tworzyła z przenikających się skośnych pasów. Zaczniemy je tak, aby szły od rogów szalika. Weźmy np. szalik z 18 pasemek, gdzie tło jest czerwone (10 pasemek), a kratę stanowią kolory: jasno-żółty (4 pasemka), szafirowy (2 pasemka), zielony-grynszpanowy (2 pasemka). Wiążemy po dwa pasemka, które zaraz przymocowujemy do poprzeczki, w następującym porządku.

Para oznaczona cyfrą V stanowi środek szalika, z drugiej strony przywiązujemy włóczki.
Jeżeli rozmieścimy włóczki następująco

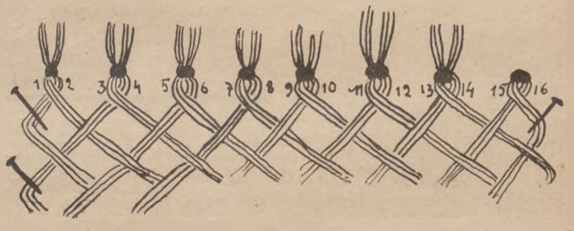
I		II		III				
1	2	3	4	5	6	7	8	2—10
żółte	czerw.	szafr.	czerw.	czerw.	czerw.	ziel.	żółte	

z drugą połowę symetrycznie względem środka — otrzymamy dwie mijające się węższe kraty, jedna żółto szafirowa, druga — żółto-zielona.

Teraz rozpoczynamy plecenie, uważając, aby w każdej parze lewe pasemko zakładać na prawe. Następnie pasemka już same niejako wskazują sposób przeplatania: te, które były na wierzchu muszą być następnie przyciśnięte, te które szły pod spodem, teraz powinny iść na wierzch. Na brzegach, przy zawracaniu, przytrzymujemy je szpilkami, odmierzając szerokość, a jeszcze lepiej stosując się do naznaczonych na suknie białą fastrygą linji.

Gdy spleciemy odpowiednią długość i wzór wypada z obu końców symetryczny — wiążemy znowu po dwa pasemka, aby uzyskać frendzlę, którą następnie zrównamy nożyczkami.

Jeżeli objaśnienie wyda się komuś przy czytaniu nie dość jasne, niech zacznie wykonywać wszystko po kolei — wtedy okaże się, że wszystko jest łatwe do zrozumienia. Wypróbować kratę możemy na maleńkim modelu, gdzie zamiast pasemka będziemy brali pojedyńczą lub podwójną nitkę włóczki.



NASZE SEMINARJUM

Chcemy pisać! Jesteśmy młode — głowy płoną od pomysłów — coś z tem trzeba zrobić, gdzieś podziać wrażenia, by się nie rozpłynęły, nie zapodziały. Jest to dziwna sprawa z tem pisaniem. Sprawa nawskroś tajemnicza. Czasem pomysł jest dobry i ciekawy, a z chwilą kiedy się urzeczywistni, stanie „pisaniną" — gaśnie, brzydnie i marnieje. Dlaczego? Zastanówmy się nad tem.

Każdy „twórca" musi wiedzieć o jednem. Jest nietylko twórcą, ale i wyrobnikiem. Nietylko daje pomysł, co jest podstawą i istotną treścią twórczości, ale musi go również urzeczywistnić. Twórczość operuje dwoma elementami: pomysłem i materjałem. Pomysł jest wytworem ducha ludzkiego, emanacją talentu. Albo się go ma, albo go się nie ma. Tu się niczego nauczyć nie można, niezależnie od tego, czy się jest pisarzem, malarzem, czy rzeźbiarzem. Natomiast zdarza się często, że mając zdolności twórcze nie znamy się na materjale z którego mamy tworzyć. Co powiecie o malarzu, który nie zna zasad perspektywy, o rzeźbiarzu nie wiedzącym nic o stopach metali?

Jest również nie do pomyślenia, aby autor nie znał swego tworzywa — języka. Język bowiem jest tworzywem dla pisarza, jest materjałem, w którym wypowiada się jego talent. Trzeba do gruntu znać język, wiedzieć jak się pisze, jak pisać nie należy, a jak należy — trzeba poznać tę część zewnętrznego procesu literackiego, aby stać się prawdziwym artystą, twórcą wypowiadającym się przez słowa.

Otwierając *nasze seminarjum* będziemy się starały zgłębić razem rzemiosło literackie. Talentu — was nie nauczymy. Na to nie liczcie. Ale postaramy się operując żywemi przykładami zaczerpniętemi z waszej własnej twórczości wyświetlić Wam wątpliwości, wykazać wady materjału słownego, którym operujecie. Jeśli pokażemy Wam jak wygląda nieskazitelne tworzywo słowne — te z Was, które mają istotny talent będą miały ułatwioną drogę do istotnej twórczej pracy literackiej.

Halina Zdunkówna — Rembertów.

— Pomówimy dzisiaj, kochana, o Twoim wierszu. Prozę zostawimy na potem. Pomysły do wierszy rodzą się w dwojaki sposób — bądź na podstawie *refleksyjnej*, wewnętrznej bądź na podstawie jakiegoś przeżycia, które dotarło do nas poprzez rzeczywistość; obraz, muzyka i t. p. Pierwszy rodzaj pomysłu daje wiersz refleksyjny (takie są przeważnie wiersze dawne np. Kochanowskiego). Drugie, to wiersze t. zw. „obrazowe". Twój wierszyk należy do drugiej rodziny. Urodził się on z obrazu dziadunia, siedzącego przed kominkiem. Ten obraz nasunął ci dalsze myśli. Myślisz o tym dobrym dziaduniu. Czego od takiego wiersza wymagamy? Wymagamy przedewszystkiem plastyki, wyrazistości obrazu, wymagamy by w niewielu strofkach ten dziadunio był tak „wymalowany" aby przez cały czas czytania „stał nam w oczach". Czar pisania takich wierszy polega na ich obrazowości. Twój dziadunio jako portret (taki ładny portret staruszka przed kominkiem!) jest zamało wyrazisty. Trzeba było moment obrazu w wierszyku więcej podkreślić — wówczas byłby bardziej artystyczny. Nie zapominajmy że czytając taki wiersz — mamy sobie bohatera *wyobrazić*. Im wiersz jest lepszy — tem czytającemu przychodzi to łatwiej. Twój wierszyk jako budowa tak się przedstawia:

1) dajesz obraz dziadunia siedzącego przed kominkiem, 2) wysnuwasz wpatrzona w niego dzieje jego przeszłości, 3) z dziejów dziadka czerpiesz otuchę do dalszego życia dla dobra Polski. Myśl ładna. A teraz przejdźmy do szczegółów jej wykonania. Jak się przedstawia język i styl — twoje „tworzywo słowne". Stoimy na stanowisku, że najwyższem pięknem jest prostota. Czy wiersz, czy proza musi się składać ze *zdrowych zdań*. Zdrowe zdanie to: podmiot, orzeczenie i dopełnienie. Ich określenia, przydawki i t. d., wszystko musi stać „blisko" określanych słów tak, żeby się w zdaniu nie zaplątać. Twój styl jest (na szczęście!) dość prosty. Są jednak błędy, które (zwłaszcza w wierszu) rażą. Weźmy 2-gi wiersz 1-ej strofki. Piszesz: „Ogień kominek zdobi w iskry swe". Kto kogo zdobi? Kominek ogień — czy ogień kominek? Trzeba pamiętać, że biernik rzeczowników nieżywotnych rodz. m. brzmi tak, jak mianownik. Stąd niejasność. Takich zwrotów należy unikać. Jest to twój jedyny zresztą błąd *gramatyczny*. Popełniłaś również błąd *logiczny*: „prawi baśnie, jakgdyby we śnie...". Czyż doprawdy sen jest chwilą prawienia baśni? Czyż wobec tego można porównać kogoś, kto opowiada bajki do człowieka śpiącego? Chyba nie!

A teraz przejdźmy do stylu. Styl wiersza musi być piękny i czysty. Wiersz jest wykwintem języka. Błędy stylowe w wierszu rażą wię-

cej niż w prozie. Nadużywasz słowa „to". (Mam wrażenie, że „upychasz" nim rytm).

Rytm także często w twoim wierszyku szwankuje, a przecież obrałaś formę rytmiczną, nie formę wiersza t. zw. „wolnego", więc musisz rytmu przestrzegać. — Czy to już wszystko? — zapytasz pewno przerażona. Wybacz kochana — muszę jeszcze trochę nazrzędzić. To tak z dobrego serca! Unikaj skojarzeń słownych „ogranych", które zapewne i ty i my wszyscy czytaliśmy po tysiąc razy. (Zapewne — wskutek tego narzucają ci się w czasie pisania). „Chluba narodu", „stary dziadunio" i t. d. Lepiej dobierać przymiotniki i określenia nadające rzeczownikom „wygląd". Np. zamiast pisać „stary dziadunio" — napisz np. „siwy" — a już będzie to powiedzenie więcej obrazowe. Nie upieram się przy „siwym" — może być innym przymiotnik, który by dziadunia więcej uplastycznił. Przymiotniki nie powinny być nigdy „przyczepiane" do rzeczowników — ich rola w wierszu jest b. ważna. Grają one rolę b. „malarską" w wierszu.

A teraz na koniec unikaj zwłaszcza w rymach powiedzeń „jak we śnie". To efekt tak „ograny" w podłych wierszach, że lepiej nic z nim nie mieć od czynienia. Nie zdobi, a szpeci — przypominając nędzne słowa piosenek brukowych za 5 groszy! To samo da się powiedzieć o „hen", „marzeniach", „baśniach", „złudach" i t. d. Unikaj ckliwości i afektacji. To spycha styl w przepaść najgorszej, wynudzonej maniery. Obrałaś temat godny dobrego opracowania. Wyobraź sobie jeszcze raz siwą postać dziadka przy kominku i spróbuj napisać jeszcze jeden wiersz o tem, kładąc nacisk na prostotę wypowiedzeń, unikając ogranych efektów. Daj coś własnego, nie bój się pisać tak jak czujesz, jak widzisz. Jeśli światło padające z ognia kominkowego ozłaca włosy dziadka — nie bój się napisać, że w tej chwili głowa dziadunia jest „złota", kiedy tak widzisz — a niech cię to krępuje, że zawsze czytałaś o głowach staruszków, że są „srebrne".

— Nie przejmuj się zbytnio czytanemi wierszami. Poezja stałaby w miejscu— gdybyśmy wciąż chcieli tak pisać, jak pisali inni przed nami. Prosto — szczerze i po swojemu — nie tak jak „ktoś". I patrz jaknajwięcej. Obrazy, które chcesz opisywać musisz dobrze widzieć bystremi oczami młodości.

A teraz dowidzenia! Pisz do nas Halinko jaknajczęściej. Serdeczne pozdrowienia od

„Świata Dziewcząt".

A TERAZ POROZMAWIAMY

Hance K. z kl. VI-ej Warszawa. — Ależ, tak, możecie nawiązywać kontakt między sobą na stronicach naszego pisma. Może i ty poszukasz sobie „bratniej duszy", Haneczko? Napisz i podaj swój adres dla windomości innych czytelniczek. A jak ładnie piszesz na maszynie! Czy sama? Wrazie czego masz gotowy fach w ręku. Za serdeczności b. dziękujemy. Swoje utwory? Naturalnie! Tylko nie obrażajcie się, jeśli będziemy musiały traktować je jako *materjał* redakcyjny, z którego b.dziemy korzystać w różnej postaci. Czasem — tylko dla swojej wiadomości.

Lilce ze Skierniewic. — Bardzo dziękujemy za uznanie i miłe słowa!

Wandzi i Hali z Pabjanic. — Właśnie w tem cały sęk, że, jak się pisze do naszego pisma, to się tego wcale nie „robi", tylko robi się to samo. Doprawdy windujecie nas na niebezpieczne szczyty zarozumiałości waszemi listami. Całe szczęście, że nie damy sobie tak łatwo zawrócić w głowie.

Dużo szczerej wdzięczności i sympatji i prośba o dalsze listy.

Chickie. — Odpowiedź na wiersze dostaniesz w dziale „Nasze seminarjum". Będzie ono naprawdę solidnie i odpowiedzialnie prowadzone. Zresztą — nie chcemy być gołosłowni. Masz oto próbkę w dzisiejszym numerze. A więc, Chickie, przeżyłaś wielką przygodę! Z ucieczką do Mamusi włącznie. Rozumiem twoje szalone emocje, związane ze zmianami szkoły i t. p. Więc przerabiasz 6-tą klasę w domu? Oczywiście, wymaga to znacznie większego wysiłku, niż kiedy się idzie z prądem całej klasy. Ponieważ masz ochotę do pisania, zdobyłaś gotową treść do dobrej książki dla młodzieży w przyszłości. Może już teraz porobiłabyś sobie notatki, a jak staniesz na nogi i nauczysz się pisać żywo i plastycznie, stworzysz „coś". Będziesz pewno uważnie studjowała „Nasze seminarjum". Napisz jak Ci się podoba. Tak, do wszystkich nadsyłanych do oceny czy druku utworów trzeba dołączyć znaczek 30 gr. Dziecko drogie, niema „małych, mizernych miasteczek". Są tylko *różne* miejsca zamieszkania. *Wszędzie* jest wielki, ciekawy świat. Trzeba tylko patrzeć, słuchać i czuć. No i są nici łączące z centrami gęściej (tyle tylko) zaludnionemi. „Świat Dziewcząt", mamy nadzieję, jest jak w fizyce „dobrym przewodnikiem". A czy nie napisałabyś do „Bratnich dusz"!!? To także — poprostu nadesłanie znaczka.

Dowidzenia narazie „Mała siostrzyczko".

Do Czytelniczek

Niniejszem zawiadamiamy nasze Czytelniczki, że od dn. 20 marca cena poszczególnego numeru ŚWIATA DZIEWCZĄT wynosić będzie 50 gr.

Ponieważ cena prenumeraty pozostaje bez zmiany t. j. 1 zł. miesięcznie za 3 numery, kto chce mieć taniej ŚWIAT DZIEWCZĄT, NIECH PRENUMERUJE!

Redakcja.

Władzi Z. — Z przysposobieniem wojskowem jest bardzo prosta sprawa. Pójdź na ulicę Bednarską w W-wie 23, m. 46, tam jest centrala P. W. K. pozaszkolnego i tam też udzielą Ci informacji. A napisz potem do nas o swoich wrażeniach.

Hance Wicherkowi. — Drogi Wicherek tak serdecznie troszczy się o powodzenie i rozpowszechnianie (to się oficjalnie nazywa — kolportaż) naszego pisma, że aż żyda od nas niemożliwości. Posłuchajcie wszystkie, co sobie uprojektował Wicherek. List dostajemy w poniedziałek 27-go Lutego. Do wtorku 28.2. Wicherek radzi nam zorganizować *bal*, a do biletów dodawać numer „Świata Dziewcząt", żeby wszyscy się z nim zapoznali Bagatelka, prawda? Strasznie dziękujemy, Wicherku, ale swoją drogą balu toby się nie dało zrobić! Radzisz nam jeszcze plakatować na słupach i ogłosić się w Radjo — to są bardzo kosztowne drogi reklamy. Zresztą p. Ankiewiczowa, kierowniczka działu kobiecego w Radjo, napewno mówi o nas przy wymienianiu czasopism kobiecych 2 razy w miesiącu. Najlepiej możecie nam pomóc wy same. Jeśli każda nasza przyjaciółka zdobędzie nam chociaż 5 nowych prenumeratorek stałych wśród kuzynek, koleżanek i znajomych, pokaże im numery, pośle je na prowincję do wsi i miasteczek — zaraz „Świat" się rozejdzie.

— Czy nie mamy racji?

Możeby wszystkie czytelniczki wypowiedziały się na ten temat?

Tym, które, nie znając „Świata Dziewcząt" przypuszczają, że jest on dla „małych" powiedz Haneczko, że cieszy się on wielkiem powodzeniem poza szkołą, na uniwersytetach, politechnice i innych wyższych uczelniach.

Piszesz b. dobrze, Haneczko, a przecinki... to bardzo paskudny znaczek przestankowy. Kto z nas jest bez grzechu przecinkowego! Zresztą może nie powinno tak być, ale my wolimy takie listy „odrazu" bez poprawiania, przepisywania i tak dalej. Tą drogą zgubi się coś z serdeczności i impetu. Pisz więc dalej, choćby i bez przecinków!

REDAKCJA.

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.—, półrocznie — zł. 5.—, kwartalnie — zł. 2.60, miesięcznie — zł. 1.—.

Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy Szerokość łamu 54 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

OGŁOSZENIA PRZYJMUJĄ: Biuro Ogłoszeniowe Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40, Rudolf Mosse, Marszałkowska 124; „PAT", Królewska 5; T. Pietraszek, Marszałkowska 115; Polska Agencja Publicystyczna, Marszałkowska 95; Międzynarod. Biuro Ogł., Senatorska 29; „Ruch", Wydz. Ogł., Poznańska 68, Jan Apte, Zielna 26; „Par", Bracka 17; „Merkury", Królewska 49; Kraków: „Par", Rynek 46; Cieszyn: Rudolf Pszczółka, Rynek; Katowice: „Par", Poprzeczna 8; Lwów: „Par", Akademicka 14; Łódź: Fucha, Piotrowska 50; Poznań: Pol. Agencja Rekl. „Par", 27 grudnia 10; Wilno: Biuro Jutana, Niemiecka 14; Gdańsk: „Devera", Kohlenmarkt 10.

Redaktorki: Hanna Januszewska-Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ".

Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 244-18 i 787-08. Konto P. K. O. Nr. 18.800

Redaktorki przyjmują w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.

Zakłady Graficzne Tow. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.